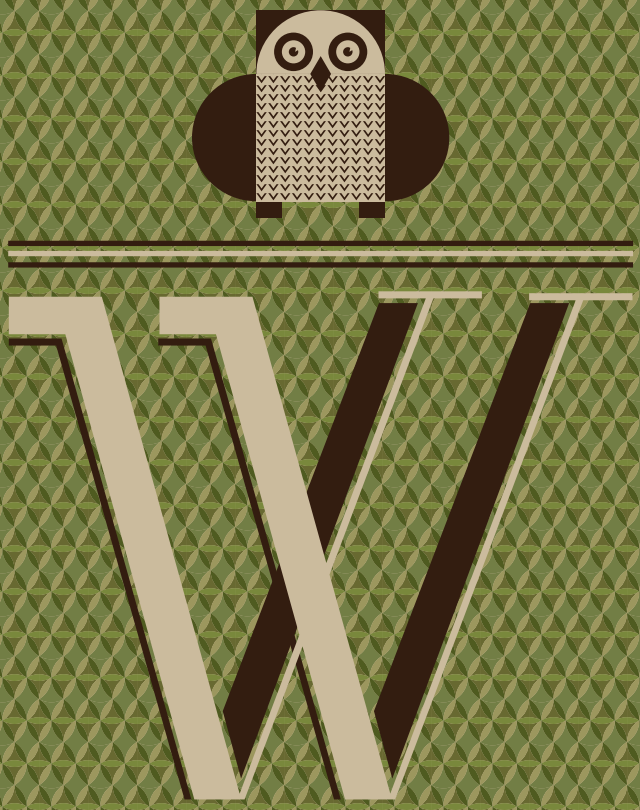


WOKABULARZ

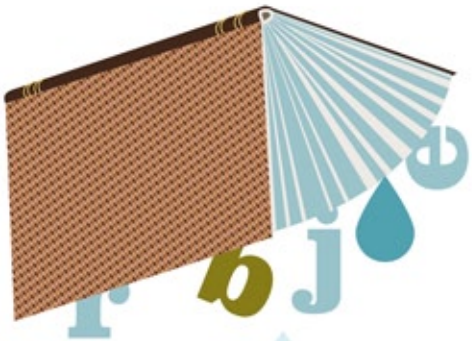


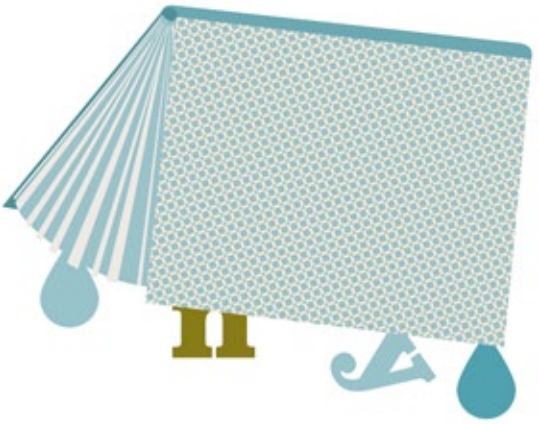


tekst: Magdalena Skrzeczkowska
ilustracje: Karolina Kotowska

Warszawa 2012

Stowarzyszenie
Pracownia Etnograficzna





Zosia i Maurycy spędzali popołudnie u dziadków. Właśnie kończyli jeść deser. Dziadek, jak zazwyczaj po obiedzie, siedział w fotelu, przeglądał gazetę i popijał herbatę. Za oknem było szaro. Rozpadało się na dobre.

– Co za pech z tą pogodą. – powiedziała Zosia. – Akurat dzisiaj. To niesprawiedliwe.

– Może jeszcze przestanie. – odpowiedział Maurycy.

– Najwyżej zabierzecie latawiec do domu i zrobicie próbę jutro. – pocieszył ich dziadek zza gazety.

Cały ranek kleili z dziadkiem latawiec i mieli nadzieję, że jeszcze tego samego dnia zobaczą, czy dobrze lata.

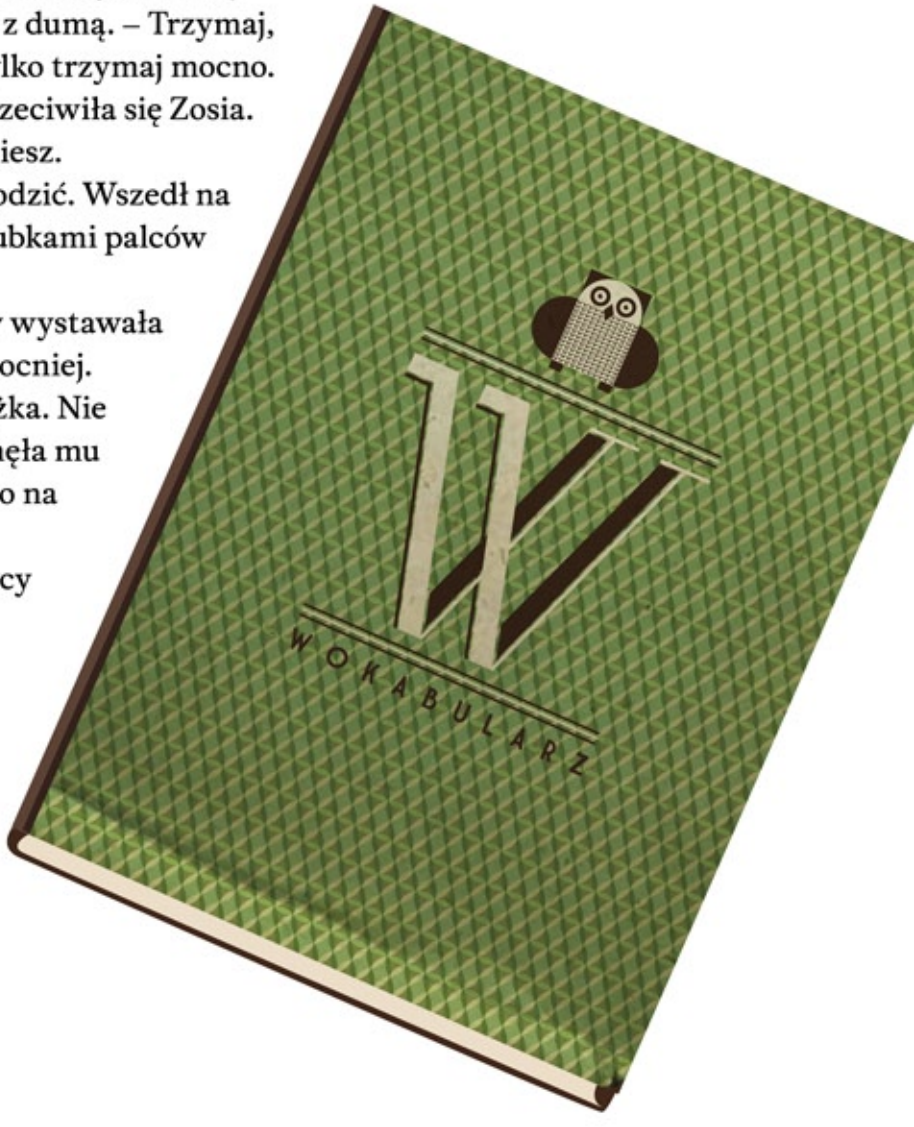
Zosia i Maurycy przyjeżdżali do dziadków w soboty. Nie w każdą, ale bardzo często. Mama zostawiała ich z samego rana, zaraz po śniadaniu i odbierała wieczorem razem z tatą. Lubili te wizyty. Dziadkowie mieszkali pod miastem. Trzeba było do nich jechać kolejką i to było bardzo fajne. Poza tym dziadek organizował różne ciekawe wycieczki i tajne zadania. Chodzili razem nad rzekę. Oglądali statki. Tropili zwierzęta w lesie. Raz nawet spotkali prawdziwego jelenia, takiego z rogami!

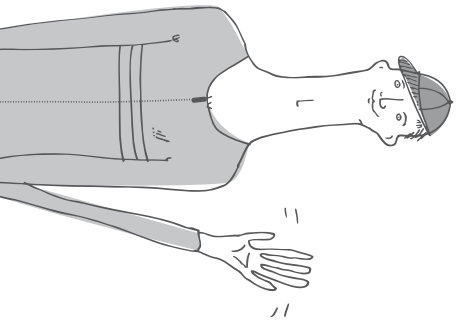
Dziadkowie mieli mnóstwo książek. Zawsze po obiedzie, a dokładnie po deserze, dziadek wybierał jedną i organizował wspólne czytanie.

To była doskonała zabawa. Dziadek i babcia byli świetnymi aktorami. Czytali głośno, jakoś tak inaczej niż wszyscy. Potrafili zmieniać głosy, robić dziwne miny, czasami zamieniali się w krokodyla, papugę albo nawet w wielką dynię. Dużo było przy tym śmiechu.

Deszcz padał nieprzerwanie. Zosia i Maurycy czekali, aż dziadek skończy pić herbatę i wybierze książkę. Dziadek jednak

usnął. Gazeta spadła na podłogę. Zaraz potem dało się słyszeć głośne chrapanie. Babcia akurat wyszła do sąsiadki.
– I co teraz? – zapytała Zosia. – Skończyły się już wszystkie czekoladowe ciasteczka.
Maurycy wzruszył ramionami na znak, że nie ma pomysłu.
– Może sami coś wybierzemy?
Poszli do sąsiedniego pokoju i zaczęli przeglądać półki. Książek było tyle, że wybranie jednej wcale nie było proste.
– Może tamta? – zawołał w końcu Maurycy i wskazał palcem wyjątkowo grubą, zieloną księgę, która stała na najwyższej półce.
– Dobra. Tylko jak my ją zdejmiemy? Z fotela nie da rady.
– Mam pomysł. Poczekaj. – Wyszedł z pokoju i wrócił za moment, ciągnąc za sobą małą srebrną drabinkę.
– Była w łazience. – powiedział z dumą. – Trzymaj, a ja wejdę i spróbuję sięgnąć. Tylko trzymaj mocno.
– Nie! Ja chcę! Ty trzymaj. – sprzeciwiła się Zosia.
– Ty jesteś za mała. Nie dosięgniesz.
Miał rację. Nie mogła się nie zgodzić. Wszedł na samą górę i wyciągnął rękę. Czubkami palców ledwo dotykał okładki.
Wysuwał po kawałeczku. Kiedy wystawała już połowa, pociągnął trochę mocniej. Książka była gruba i bardzo ciężka. Nie dał rady jej utrzymać. Wyślizgnęła mu się z ręki i łup! – poleciała prosto na podłogę.
W pokoju się nakurzyło. Maurycy pędem zbiegł z drabiny.
A psik! – kichnęła Zosia.
A psik! – kichnął jeszcze ktoś.
Zosia spojrzała na brata.
Pokręcił głową, że to nie on.
Rozejrzeli się oboje po pokoju.
Nie było absolutnie nikogo.
W tym momencie usłyszeli szelest kartek...





Hultaj Łobuz

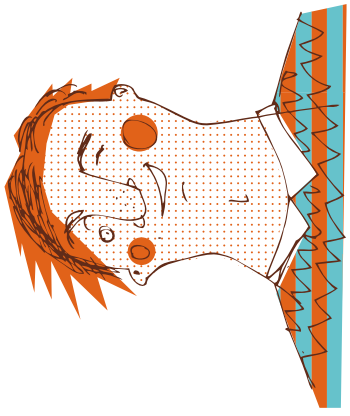
– No, w ostatniej chwili! Już się bałem, że nikt się nie zlituje, daję słowo.
Spośród kartek wyskoczył nagle chłopak.
– Mało brakowało! Utknąłbym na zawsze. – powiedział do siebie. Wytarł nos rękawem i zaraz potem spojrzał na ubranie.
– O, do diaska! – krzyknął – Jak ja wyglądam?! Cały zakurzony. I kurtka mi wyblakła!
Zosia i Maurycy obserwowali go z niedowierzaniem. Chłopak mógł mieć dziesięć, może jedenaście lat. Stał tuż obok książki i był całkiem szary.
– Co się tak patrzycie? – zapytał nagle dość niemiło.
Nie wiedzieli, co mu odpowiedzieć.
– Zamiast patrzeć, zrobilibyście coś pożytecznego. Moglibyście wypowiedzieć na głos moje imię. Lepiej bym wyglądał.
– A jak ty się nazywasz? – zapytała Zosia.
– Jak to, jak? Hultaj Łobuz. – odpowiedział i kucnął, żeby zawiązać sznurówki.
– Hultaj Łobuz? – upewnił się Maurycy.
Kurtka Hultaja zrobiła się barwniejsza. Pojawiły się na niej biało-niebieskie paski. Buty i czapka też przestały być zupełnie szare.
– Ha, zrobiłeś się kolorowy! Ale historia! – ucieszyła się Zosia.
Hultaj wiązał buty i się nie odzywał.
– Kurtka zrobiła się niebieska, słyszysz? Już nie jesteś szary. – powiedziała głośniej, nachylając się do niego.
– Widzę przecież. I nie musisz mi dwa razy powtarzać. – odburknął.
Zbita z tropu dłuższą chwilę nie odpowiadała. – Mógłbyś chociaż podziękować. I w ogóle, to czemu jesteś taki nieprzyjemny?
Hultaj się zawahał. Wstał powoli. Popatrzył na Zosię i na Maurycego.

– Jestem Hultaj Łobuz, przecież powiedziałem, prawda?
A hultaje nie są sympatyczne, chyba wiecie o tym. Łobuzują, robią niezbyt mądre rzeczy, hałasują, czasem coś popsują albo zrobią komuś przykrość. Sympatyczne nie są. Tak to już jest.
No, ale dzięki za kolory.
– Jestem Zosia. – przedstawiła się Zosia.
– A ja Maurycy. – brat również nie dawał za wygraną.
Nie za bardzo im się podobało to, co mówił Hultaj, ale w końcu nie za często spotyka się kogoś, kto wyskoczył z książki. Mieli mnóstwo pytań.
– A co ty tam robiłeś w tej książce? I dlaczego byłeś szary?
Hultaj parsknął niczym koń. Nie chciało mu się gadać. Pokręcił głową poirytowany, ale minę miał już mniej skwaszoną.
– Dobra, jakoś wam to wytłumaczę, ale potem dajecie mi spokój.
– Jestem Hultaj, to moje imię. Mieszkam w tej książce.
A właściwie to muszę w niej siedzieć, jeśli długo nikt nie wypowiada na głos mojego imienia. Takie są zasady w świecie wyrazów. Stamtąd pochodzę. Jeśli ludzie o mnie rozmawiają, to jest super. Nabieram sił i kolorów. Widzieliście zresztą. Mam dużo energii, mogę sobie wyskoczyć z książki, podróżować, odwiedzać różne miejsca, spotykać się z innymi słowami albo, tak jak teraz, z wami. Ale jeśli nikt o mnie nie wspomina, robię się bardzo słaby, tracę barwy, aż w końcu muszę wracać do *Wokabularza* i tam siedzieć bez ruchu.
Wokabularz to ta książka właśnie, taki słownik.
– pokazał ręką otwartą księgę, która leżała na podłodze. – Różne postacie tam mieszkają.
Nie tylko ja.
– Hm. Nieco to skomplikowane.
– Nie, wcale nie. Umiecie czytać?
– Trochę tak. – przyznała Zosia. – Ja umiem! – zawołał Maurycy.
– No to wybierzcie jakieś słowo. Przeczytajcie głośno i od razu zobaczycie, o co chodzi. Sprawa jest prosta.
Moglibyście na przykład poszukać Huncwota. Też tam siedzi uwięziony i to już od dawna. Nie wiem, czy ktoś w ogóle pamięta, że on istnieje. To mój dobry kolega. Jak wypowiecie jego imię, zaraz się pojawi.



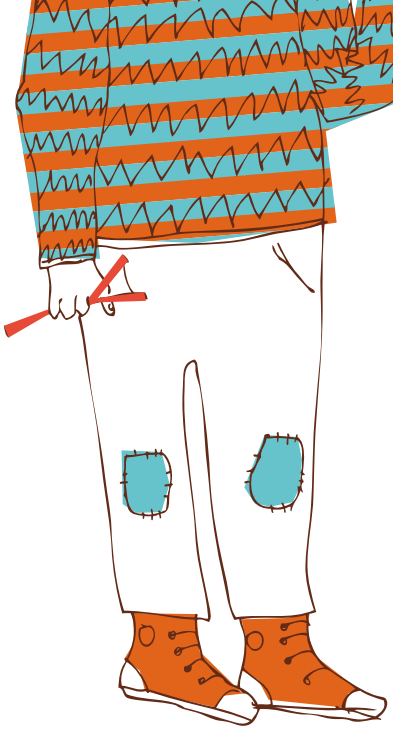
Huncwot Rozrabiaka

– To działa! – krzyknęła Zosia.
Huncwot Rozrabiaka był trochę niższy od Hultaja i grubszy. Miał rude włosy, piegi i cały czas żuł gumę. Zosia pomyślała, że kiedy tak zawzięcie rusza ustami, wygląda trochę jak krowa, która wciąż ma w pysku trawę. Bardzo ją to rozbawiło.
– Mam nową procę, zobacz. – zawołał Huncwot do Hultaja i wyciągnął z kieszeni nowiutką czerwoną procę. Chyba w ogóle nie zauważył Zosi ani Maurycego. – Z długą rączką i podpórką. Guma jest ze starej dętki od roweru. Jeszcze jej nie wypróbowałem, ale podobno strzela na sto metrów, a to znaczy, że kamyk przeleci przez całe podwórko, a może nawet na drugą stronę osiedla. – mówił podekscytowany.
– Pokaż. – Hultaj złapał procę, obejrzał szybko i raz dwa załadował kamyk, który akurat trzymał w kieszeni. Naciągnął gumę ze wszystkich sił i wystrzelił. Pocisk śmignął koło nosa Zosi, przez otwarte okno poleciał na koniec ogrodu i uderzył w płot.



– O wciórności! Nieźle, pokaż, teraz ja! – krzyknął Huncwot.
– Ej, przestańcie! Tam mieszka kot Romuald! Mogliście w niego trafić! – zdenerwowała się Zosia. – I jeszcze wybić szybę!
Maurycy też o tym pomyślał, ale nic nie dodał. Podobała mu się proca chłopaków. Nie widział takiej wcześniej i sam by chętnie popróbował.
– Kim ty w ogóle jesteś? A poza tym, to się nie wtrącaj! – powiedział nieprzyjemnie Huncwot.





– Ooooo nie! – wściekła się Zosia. – Jestem Zosia i wypraszam sobie. Chyba zapomnieliście, że to dzięki mnie możecie sobie teraz strzelać z tej waszej procy. Macie uważać na kota Romualda i być dla mnie mili, a jak nie, to ja wam obiecuję, że już nigdy więcej nie wypowiem waszych imion. Nikomu o was nie opowiem, a wtedy dobrze wiecie, co będzie. Stracicie wszystkie kolory, siły i będziecie musieli wracać do *Wokabularza*.

Nie była pewna, czy wszystko, co mówi, to prawda i czy rzeczywiście tak się stanie, ale nie wiedziała, jak sobie inaczej radzić z łobuzami.

– Oni są w porządku. – powiedział Hultaj do Huncwota, który już chciał się kłócić. – Znaleźli *Wokabularz*. Dzięki niej i Maurycemu mogliśmy się tu spotkać.

– Będziemy uważali na kota i na szyby w oknach też. Obiecujemy. – powiedział Hultaj do Zosi.

– Dobra już, dobra, nie wiedziałem, że tam mieszka kot. – dodał Huncwot.

– No! – odparła Zosia zadowolona.

Chłopaki zaczęli się zastanawiać, jak zrobić drugą procę dla Hultaja.

Zosia z Maurycym wrócili do *Wokabularza*. Słów na literę H może już wystarczy. – ustalili i zaczęli szukać na początku książki.





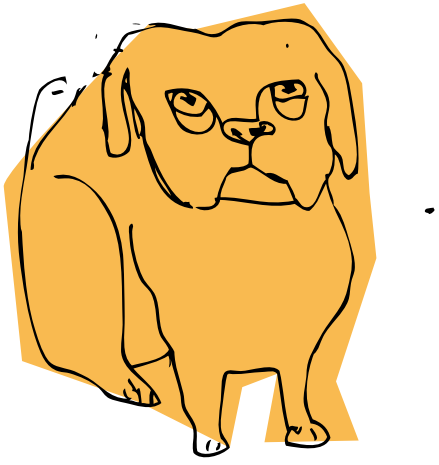
Absztyfikant Zalotnik

– Aaaaaaaaaabs... aaabszszszsz... aaaabsztyfffffffff... aaaabsztyfiiiiiikant absztyfikant! – przeczytał z trudem Maurycy.
– O nie, znowu chłopak! – załamała się Zosia.
– Co ja mam zrobić? Co zrobić, powiedzcie. – Absztyfikant był eleganckim mężczyzną, nosił czarny frak i błyszczące buty. Zmartwiony i trochę poddenerwowany chodził po pokoju i powtarzał – Poradźcie, bo ja już nie wiem.
Zosia i Maurycy nie wiedzieli, o co chodzi i jak mogą mu pomóc. Nie zdążyli jednak spytać, bo ten mówił dalej. Bardzo się rozmarzył.
– Ona jest wspaniała, nie wyobrażacie sobie, najwspanialsza na świecie. Tak cudownie się uśmiecha i tańczy. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś tak tańczył.
Kołysał się przez chwilę na nogach, robił trochę nieporadne kroki i powolne obroty z rękami w górze. Zosię i Maurycego nieco tym rozbawił. Brakowało tylko muzyki.
– Tak delikatnie i leciutko. Ach! I gdybyście usłyszeli ten jej głos. – zachwycał się dalej Absztyfikant. – Najwspanialszy po prostu. Nie za gruby, nie za cienki, idealny, doskonały. Mógłbym godzinami słuchać, jak tym głosem opowiada przeróżne historie. Jest cudowna.
Chodził po pokoju, mówił i mówił, przez dziesięć minut co najmniej. Zachwycał się i wzdychał, siadał na krześle, wstawał z powrotem, opowiadał nieustannie o jakiejś dziewczynie, nie sposób mu było przerwać. W końcu zaschło mu w gardle.
– Mógłbym poprosić o szklaneczkę wody? – zapytał grzecznie.
Zosia pobiegła do kuchni.



Maurycy wykorzystał moment.
– Proszę pana – zapytał niepewnie.
– czy pan się zakochał? Czy pan się zakochał w dziewczynie?
– Ech... – westchnął Absztyfikant Zalotnik. – Frejlina, ona jest cudowna. Zakochałem się, oj tak.
Maurycy miał dość niewyraźną minę. Absztyfikant to zauważył.
– Ale czemu ty tak dziwnie patrzysz? – zapytał. – To poważna sprawa. Bardzo poważna. Gdybyś ją zobaczył, na pewno byś zrozumiał.
Maurycy przyglądał się i nie był pewien, czy by to zrozumiał. Zachwycała go czerwona proca Huncwota. Albo nowe buty do gry w piłkę. Z dziewczynami bawił się czasem, ale raczej rzadko. Z Zosią częściej, ale to zupełnie co innego, bo Zosia była siostrą i to się nie liczy. Tyle gadać o dziewczynie? – myślał i jednak nie rozumiał.
Absztyfikant ciągnął dalej.

– Wszystko było dobrze, układało się wspaniale, dopóki jej nie powiedziałem, że jej pies to potwór, a wygląda jak pokurczony robaczek. Co mnie podkusiło? – złapał się za głowę. – Byliśmy na spacerze, było bardzo miło. Śmialiśmy się, oglądaliśmy chmury. Frejlina lubi spacerować po parku. Na nieszczęście zawsze z tym swoim pieskiem. Jaki on nieznośny! Mały, brązowy, cały pomarszczony, diabeł wcielony. Ciągle na mnie szczekał i chciał gryźć po kostkach, nie do wytrzymania. Powiedziałem w końcu w złości – Odczep się potworze! Co ty sobie myślisz? Wyglądasz jak pokurczony robaczek i w ogóle się ciebie nie boję!

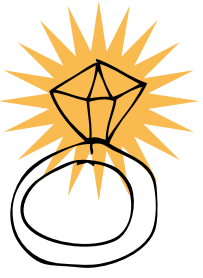


Absztyfikant się roześmiał, kiedy przypomniał sobie moment, w którym zaskoczony pies Frejliny podkulił ogon i schował się za nią w przestrachu. Zaraz jednak znów spoważniał.
– To już trzy tygodnie, jak się do mnie nie odzywa. Obraziła się śmiertelnie. Nawet nie spojrzy na mnie, a jak spojrzy, to nie chce porozmawiać. Chodziłem, prosiłem, wymyślałem różne niespodzianki. Odwiedzałem ją z bukietem kwiatów i z czekoladkami. Specjalnie dla niej zrobiłem konfiturę z malin, którą wiem, że lubi. Kiedyś nawet ogoliłem wąsy, bo wiedziałem, że niezbyt jej się podobają, ale wszystko na nic. Nic nie podziałało. Żeby chociaż wyszła do ogrodu, ale ona nie, zacięta. Jestem zajęta, niestety nie dam rady. Może innym razem, odpowiada zawsze, kiedy ją odwiedzam, i zaraz potem zamyka mi drzwi przed nosem. Co robić? A jeśli ona już nigdy się do mnie nie odezwie?
Maurycy nie wiedział, co tu można zrobić, ale przejął się historią. Zosia była jeszcze w kuchni i nie słyszała rozmowy.



Przybliżył się do Zalotnika.
– Wie pan co, jak Zosia się obraża i nie daje się przeprosić – mówił po cichu – to ja w końcu udaję, że mnie to już nic a nic nie obchodzi i że może być tak obrażona nawet do końca świata. W ogóle do niej nic nie mówię, sam się bawię i to w jakieś super zabawy, no i oczywiście tak, żeby to widziała. Wolałbym razem z nią się bawić, bo to fajniej, ale jeśli nie chce, to nie. W końcu jej przechodzi. Niech pan też spróbuje, może to podziała.
Zosia przyniosła kubeczek z wodą.
– Dziękuję. – odpowiedział Absztyfikant i wypił łyczek. – Maurycy właśnie opowiada, jak znaleźliście *Wokabularz*. – powiedział i mrugnął okiem do Maurycego tak, żeby Zosia tego nie widziała. – Powiedział, że mógłbym razem z wami wybrać kolejne słowo.
– Świetny pomysł! – ucieszyła się Zosia i poszła po książkę.







Alkowa Senna

Kiedy wypowiedzieli imię, stanął przed nimi bardzo przyjemny kącik do spania. Było w nim łóżko z kolorowymi poduszkami i miękkim kocykiem. Obok łóżka stała szafka, a na niej lampa i kubeczek z wodą. Na zielonych ścianach wisiały dwa obrazki. Alkowa wyglądała właściwie trochę jak pokój Zosi i Maurycego, była tylko dużo mniejsza. Nie pomieściłaby dwóch łóżek, fotela, a tym bardziej szafki z zabawkami. Nie miała okien.

– Ale malutka sypialnia, taka tyci tyci. – powiedziała Zosia.

– Yhy – odparł Maurycy – ale nie wiem, czy taka fajna. – dodał.

– W takim małym pokoju bez okna można chyba tylko spać. Jest ciemno i w ogóle nie ma miejsca, żeby się pobawić. Nie ma gdzie malować farbami ani gdzie rozstawić kolejki. Moglibyśmy chyba tylko pograć w karty na łóżku i to przy latarce, trochę jak w namiocie. Jakiś kiepski ten pokój.



– Oj, od razu kiepski. – odezwała się Alkowa. – Może nie da się tu wstawić wszystkich zabawek, ale przecież w nocy ważniejsze są sny niż zabawki. Ja jestem specjalistką od snów właśnie. W takim przytulnym miejscu dobrze się odpoczywa. A ile się pojawia ciekawych historii! Wy nie lubicie snów? – zapytała łagodnie.

– Ja mam czasem takie sny, że się ich trochę boję. – odpowiedział Maurycy. – Jak mi się śni jakiś potwór, to mi się to wcale nie podoba.

– No tak, takich snów nie da się polubić. – powiedziała Alkowa.

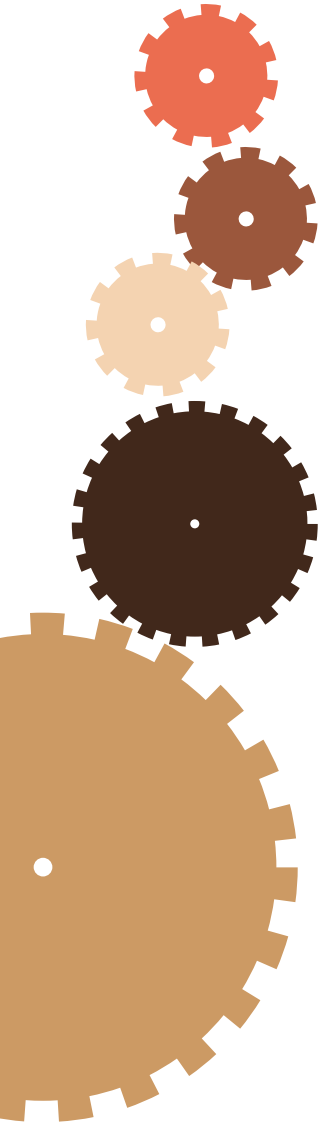
– A mnie się śniło niedawno – wtrąciła Zosia – że mam taką specjalną różdżkę, którą mogę zmieniać kolory. Zaczarowałam wszystko na różowo: sukienki i kredki, i naczynia w kuchni, i ściany w mieszkaniu. Wszystko, czego nią dotknęłam, robiło się różowe. Gdybym mogła mieć taką prawdziwą, to by było coś!

– A mi się też jeden sen przypomniał – ośmielił się Maurycy



– Byłem
z chłopakami na
ogromnym placu zabaw.
O tak, to było super! Bawiliśmy się
w piratów, co szukają skarbów. Mapa nam
pokazywała, że skarb jest w piaskownicy. Żaden nie
chciał pójść poszukać, bo wiadomo, że piaskownica to miejsce
dla maluchów. No, ale w końcu ją przekopaliśmy i tam była wielka
skrzynia ze złotymi monetami. Gdyby taką skrzynię znaleźć... – rozmarzył się
Maurycy.
– Nie mogę wprost uwierzyć. Takie zabawy we śnie i to bez zabawek? – zagadnęła
żartobliwie Alkowa.
– No dobra. Jeśli u ciebie też śnią się takie historie, to wcale nie jesteś taka kiepska. –
powiedział Maurycy.
– Oj, nie tylko takie. – uśmiechnęła się Alkowa.

Godzinnik



Cyk cyk cyk cyk cyk cyk cyk cyk. Słychać było rytmiczne cykanie i kroki.
– Jest! – szepnął Maurycy.
– Godzinnik. – powiedziała Zosia, gdy Godzinnik się wyłonił. Wiedziała już, że kiedy powtarzają imiona, kolory postaci robią się wyraźniejsze.
Godzinnik spojrzał na nich, delikatnie się uśmiechnął, ale nie przystanął, tylko poszedł szybko dalej, jakby był spóźniony. Zrobił dziesięć kroków i dopiero się zatrzymał. Z kieszeni marynarki wyjął nieduży złoty dzwoneczek, wyprostował plecy, wstrzymał oddech i zadzwonił – dzyń dzyń dzyń. To były trzy porządne brzdąknięcia, które dało się słyszeć w całym pokoju. Schował dzwoneczek do kieszeni i dopiero się odezwał.
– Przepraszam, że tak was minąłem bez słowa, ale to była pora, kiedy musiałem wybić godzinę.
Wyglądał dosyć elegancko. Miał dobrze skrojoną, nieco zużytą brązową marynarkę, a na głowie nieduży melonik.
– Muszę dzwonić co godzinę, takie mam zadanie. – powiedział.
– To ty jesteś trochę jak zegar! – zawołał Maurycy.
– Zgadza się, zgadza, mierzę czas. Nie interesują mnie jednak minuty ani sekundy, ale wyłącznie pełne godziny.
– A skąd wiesz, kiedy masz zadzwonić? Skąd wiesz, że już minęła godzina albo że jeszcze jest za wcześnie i trzeba poczekać? – dopytywał Maurycy.
– Ha, nie wierzę! Do tej pory nikt mnie o to nie zapytał! – Godzinnik wyraźnie się ucieszył – Otóż mam tutaj różne mierniki, trybiki i koła zębate, które mi podpowiadają. – odparł nieco tajemniczo.

Odsłonił klapę marynarki. Pod nią ukazał się elegancki błyszczący mechanizm, zbudowany z dużych i małych metalowych kółek, śrubek i sprężynek. Wszystkie części się ruszały, kręciły w różne strony. Cyk cyk cyk cyk cyk cyk cyk cyk – słychać było teraz dokładniej. Mechanizm wyglądał na bardzo skomplikowany.

– Kiedy to największe kółko, które wygląda trochę jak słońce z promieniami – tłumaczył powoli – wykona pełen obrót, wyciągam dzwoneczek i dzwonię. Wszyscy wtedy wiedzą, że oto minęła kolejna godzina.

– I nigdy się nie zagapiłeś? I nie zapomniałeś? – zapytał zafascynowany Maurycy.

– I dzwonisz także w nocy? – dołączyła Zosia.

– Czasem się zagapię i opóźnię, przyznaję – powiedział nieco zawstydzony Godzinnik – ale raczej staram się nie mylić. Dużo wtedy zamieszania. Niedawno Makutra spaliła przeze mnie wszystkie biszkopty. Wstawiła ciastka do pieca. Miałem zadzwonić o drugiej, żeby wiedziała, że już czas wyjmować. Zagadałem się trochę, zadzwoniłem dopiero o trzeciej, no i biszkopty spalone. Zostały tylko czarne placki. Niewesoła to była historia. – machnął ręką i ciągnął dalej. – A w nocy też dzwonię, oczywiście. Mogę się zdrzemnąć tylko między godzinami. To są takie krótkie drzemki.

– Rety, to musisz być bardzo zmęczony. Może chcesz się przespać, a my zadzwonimy za ciebie o czwartej? – Maurycy pokazał Godzinnikowi swój nowy elektroniczny zegarek, który dostał na urodziny. – Zadzwonię punktualnie o czwartej, obiecuję. Nawet nastawię alarm, żeby nie zapomnieć.

– Wspaniale. Będę bardzo wdzięczny. – Godzinnik się uśmiechnął, przekazał Maurycemu dzwoneczek i poszedł się położyć na dłuższą drzemkę w Alkowie.



Kuzynki Srokacinki

– Teraz ja wylosuję. – powiedziała Zosia, otworzyła książkę w innym miejscu i wskazała palcem nowe słowo.
– Srokacinki. – przeczytał Maurycy.
W tym momencie z książki wyskoczyła nieduża postać, średniego wzrostu, w kapeluszu i butach na obcasie. Za nią zaraz następna, tylko mniej elegancka, w tenisówkach i chusteczce na głowie. Kolejna, z bujną fryzurą i teczką pod pachą, była bardzo szczupła. Pojawiła się też czwarta. Nosiła okulary i miała ołówek za uchem. Wyłoniła się piąta i szósta. Każda z postaci była inna, ale jednocześnie wszystkie do siebie podobne. Kiedy wyskoczyła siódma i nie wyglądało na to, żeby to już była ostatnia, Maurycy powiedział po cichu:
– A jak ich jest z tysiąc? To co my zrobimy? Przecież one się tu wszystkie nie zmieszczą. Może powinniśmy zamknąć *Wokabularz*?
– Poczekaj. – nie pozwoliła mu Zosia. – Srokacinki – pssss... pomożesz mi przeczytać? – poprosiła.
– Pstre plamki. – przeczytał dalszy opis.
– Pstre plamki... ciekawe, co to znaczy pstre. – myślała głośno.
– Mnie się wydaje, że to znaczy kolorowe, takie co mają dużo kolorów – odpowiedział.
– Hmm. Srokacinki. – powtórzyła jeszcze raz i przyglądała się sympatycznym dziewczynom.
Były żwawe, rozmawiały ze sobą, naradzały się, pokazywały sobie różne plansze i obrazki, nie zwracały uwagi na Zosię ani na Maurycego.



– Ja myślę, żeby pomieszać plamki żółte z niebieskimi. To da najlepszy efekt. – powiedziała dziewczyna w kapeluszu.
– Myślisz? Ja mam małe wątpliwości. Spróbowałabym dodać do tego wzoru jeszcze trochę plamek czerwonych, a może też pomarańczowych. Zobacz. Całość zrobi się bardziej kolorowa i wesoła. Plamko zielona, co uważasz? – mówiła inna, trzymając w ręku rysunek, na którym było bardzo dużo kolorowych kropek.



W tym momencie Zosia i Maurycy zorientowali się, że dziewczyny nie tylko rozmawiały o plamkach, ale same wyglądały jak te plamki. Każda była innego koloru. Plamka w kapeluszu była cała czerwona, ta w tenisówkach i chusteczce – zielona, ta z teczką pod pachą – niebieska. Każda miała ubranie, włosy, buty i wszystkie dodatki w swojej niepowtarzalnej barwie. Pierwszy raz widzieli kogoś takiego.
– Kim wy jesteście? – zapytała w końcu Zosia.
Dziewczyny dalej rozmawiały, niebieska plamka oderwała się jednak od dyskusji.
– Dzień dobry. Kuzynki Srokacinki, bardzo mi miło. – przedstawiła się, podając Zosi i Maurycemu rękę. – Jesteśmy rodziną kolorowych plamek. Prowadzimy razem pracownię projektową. Doradzamy i wymyślamy wzory z plamek dla wszystkich, którzy tego potrzebują. Jako najprawdziwsze pstre plamki na świecie znamy się na tym doskonale. Mamy nawet swoją wizytówkę. Podała dzieciom mały kartonik.

Kolorowe wzory z plamek
– Kuzynki Srokacinki –
Pracownia projektowa
Nieskończona ilość pomysłów



– I to jest wasza praca? – zapytała Zosia zdziwiona.
– Tak. Bardzo to lubimy.
– A dla kogo na przykład wymyślacie takie wzory?
– To bardzo różnie. Dzisiaj na przykład wymyślamy wzór na suknię dla Frejliny. Ale zgłosić się do nas może każdy, kto tylko potrzebuje plamkowego wzoru. Można wybrać coś ładnego z naszego katalogu albo zamówić jakiś wyjątkowy, nowy pomysł. Komponowałyśmy już plamkowe dekoracje na obrusy, parasole, tapety, fotele, filiżanki, motyle skrzydła, ptasie pióra, egzotyczne rośliny, okładki książek, latające balony...
– Ptasie pióra? – przerwał zaskoczony Maurycy.
– Tak, tak, oczywiście, ptaki często proszą o poradę. Najbardziej lubimy bataliony. Praca dla nich to ogromne wyzwanie. Każdy batalion chce być inny. Zawsze proszą, żeby

projekt na ich pióra był oryginalny i w żadnym wypadku się nie powtórzył. Nie ma na świecie dwóch takich samych batalionów. Każdy ma inne plamki i kolory.
– A może wy też potrzebujecie jakiejś plamkowej dekoracji? Chętnie coś dla was wymyślimy. – włączyła się do rozmowy pomarańczowa dziewczyna.
Zosia przeglądała teczkę, którą chwilę wcześniej dostała od niebieskiej plamki. Nie mogła się zdecydować, który wzór podoba jej się najbardziej. Znalazła taki, gdzie było dużo pomieszanych niebieskich, żółtych i czerwonych plamek. I taki, na którym plamki układały się w pasy niczym tęcza. Jedna plansza wyglądała jak łąka z nieskończoną ilością małych kwiatków. Można było je liczyć i liczyć, było ich chyba ze dwieście i każda inna. Maurycemu najbardziej podobał się wzór, który przypominał dno oceanu. Plansza była cała niebieska, ale plamki miały różne odcienie i jak się patrzyło z bliska, to wcale nie zlewały się w jedną plamę. Niektóre były jaśniutkie, prawie białe, inne ciemniejsze, granatowe, pozostałe tak ciemne, że aż prawie czarne.
– A takimi plamkami można udekorować wszystko? – zapytał.
– Oczywiście.
– I latawiec na przykład też?
– Maurycy, jesteś genialny! – Zosia pobiegła do drugiego pokoju.
– Bo my zrobiliśmy dzisiaj z dziadkiem latawiec, suszy się na parapecie. – mówił dalej. – Jest na razie kiepski, bo bez żadnych kolorów, cały brązowy.
– To będzie dla nas zaszczyt zaproponować wzór na wasz latawiec. – odpowiedziała pomarańczowa plamka. Odwróciła się do pozostałych i zawołała – Dziewczyny, róbcie miejsce. Suknia dla Frejliny musi chwilę poczekać. Mamy tu zadanie specjalne. – I pokazała latawiec.

Piejak Aleksander

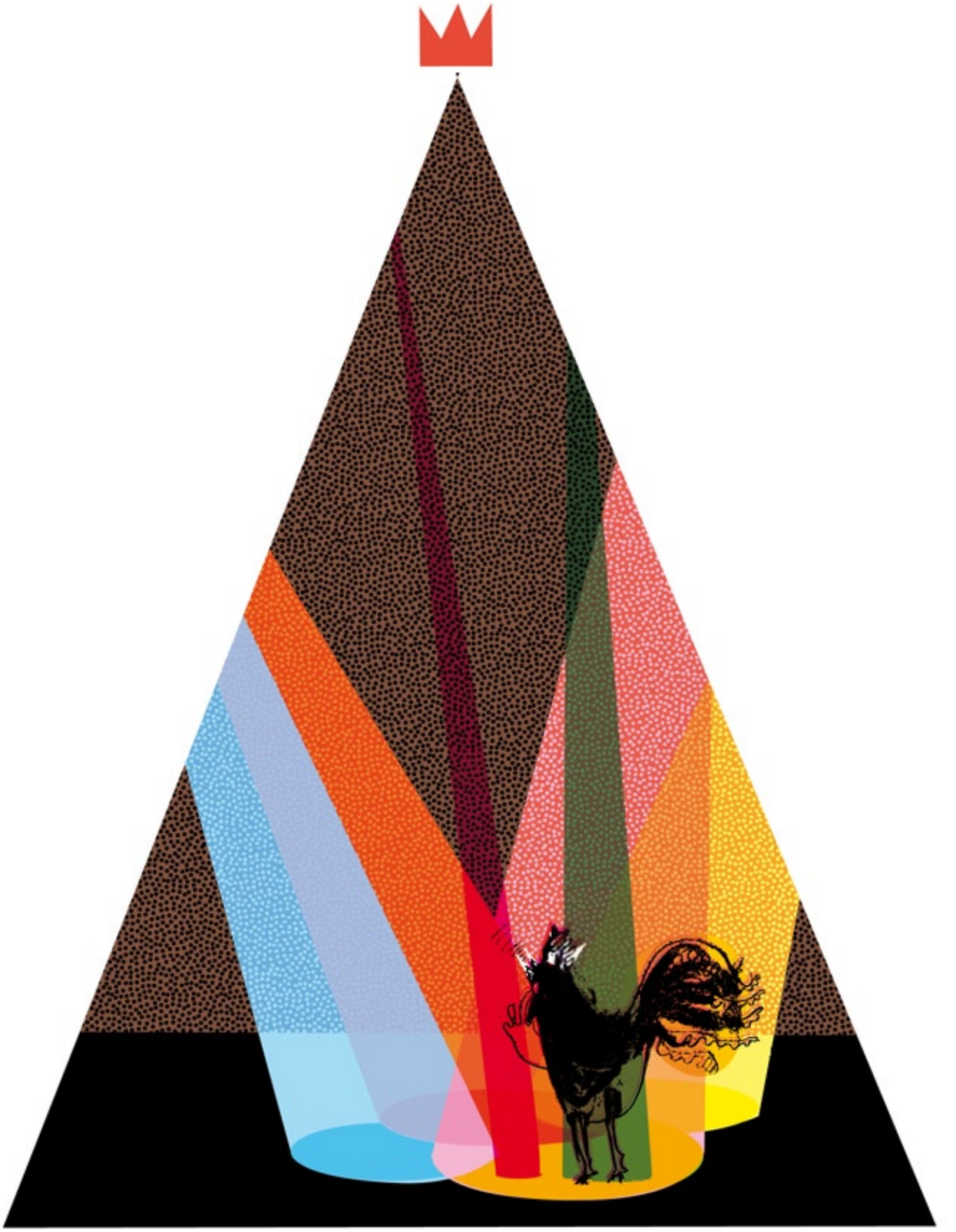
– To teraz ja wybieram. – powiedział Maurycy. Przerzucił kilkanaście kartek, zamknął oczy, a kiedy je otworzył, przeczytał wyraz, który miał pod palcem. – Piejak.
Z *Wokabularza* wypadło kilka piór. Chwilę potem Piejak stanął w pokoju.
– Tym razem to chyba zwykły kogut. – powiedziała Zosia.
– Zwykły kogut? Oj nie, dlaczego wszyscy tak o mnie myślą? – zawołał Piejak nieco rozżalony, kiedy usłyszał słowa Zosi.
– Jestem przecież Piejak, Piejak Aleksander, utalentowany śpiewak, w przyszłości śpiewak operowy. – dodał.
Zosia nieco się zdziwiła i zrobiło jej się trochę głupio.
Piejak był większy od zwyczajnego koguta. Wokół szyi i na skrzydłach miał brązowe i złote pióra. Pobłyskiwały w świetle lampy niczym złoty płaszcz. Miał duży, granatowy brzuch. Do tego czarny, ogromny ogon, który szeleścił i wyginał się na różne strony. Na głowie nosił czerwony cylinder. Wyglądał elegancko.
– Jestem tenorem. – tłumaczył dzieciom Piejak. – To bardzo rzadki głos. Dbam o niego, jak o skarb największy. Ochraniam szyję przed chłodem, żeby nie złapać chrypki. – poprawił czerwony szal owinięty wokół gardła. – Piję napar z nasionek siemienia. Nie tykam lodowatej wody ani lodów. Ćwiczę głos codziennie przez kilka godzin, od samego rana. Gdy tylko słońce wstanie, zabieram się do pracy. Tak bym chciał kiedyś wystąpić na prawdziwej scenie. To moje marzenie największe.
– Piejak i opera. Yhy, na pewno. – wtrącił szyderczym tonem Huncwot, przerywając Piejakowi.
Zosia spojrzała na niego ukradkiem, marszcząc czoło.
– Naprawdę umiesz śpiewać piosenki? – zapytała Aleksandra.
– Całych piosenek jeszcze nie. – odpowiedział trochę niepewnie. – Będę śpiewał piosenki, a potem arie operowe, ale najpierw muszę się nauczyć pojedynczych dźwięków.



Wyjął gruby plik kartek w czarnej oprawie. – Pewien śpiewak mi obiecał, że jeśli zaśpiewam czysto każdą nutę, która jest w tej książce, przyjmie mnie do siebie na poważne lekcje dla profesjonalistów. Będę potem mógł występować w najprawdziwszej operze. Ach, jakie to będzie wspaniałe!
Zosia przyglądała się dziwnym liniom, kropkom i krzyżykom w książce Piejaka. Maurycy patrzył jej przez ramię. – To jakiś tajny szyfr? – zapytał zaciekawiony.
– Nie tam, skąd. – odpowiedział Piejak. Otworzył książkę na pierwszej stronie. – Jedna kropka, czyli jeden dźwięk. Potem dwie kropki, dwa dźwięki. Potem trzy. – tłumaczył.
– To są proste ćwiczenia, szybko się ich nauczyłem. Zaraz wam pokażę, w którym miejscu jestem teraz. Przekręcił kilka kartek i zatrzymał się na stronie, gdzie były cztery kropki.
– Cztery dźwięki. – powiedział Maurycy, który zaczął już coś rozumieć z tego, co tłumaczył Piejak.



– Tak właśnie. Tylko to nie wszystko. W tym ćwiczeniu jest dodatkowa trudność. Trzy pierwsze dźwięki trzeba zaśpiewać krótko, a czwarty ma być bardzo długi. Żeby było dobrze, powinien trwać przynajmniej trzydzieści sekund. Jeszcze nigdy mi się nie udało tak długo go zaśpiewać. Pół roku już próbuję. Powietrze zawsze mi się kończy za wcześnie. Jeżeli chcecie, mogę wam pokazać, jak to powinno wyglądać. Może teraz się uda.
– Super. Ja mogę mierzyć czas. – zaproponował Maurycy. – I zróbmy scenę. Taką, jak w operze. – Zdjął szybko wszystkie poduszki z foteli i ułożył na podłodze.
– I jeszcze światło reflektora. – powiedziała Zosia ustawiając lampę w taki sposób, żeby światło padało na sam środek przygotowanej estrady.
–Trzeba zapowiedzieć. – powiedział Maurycy do Zosi, która od razu wskoczyła na poduchy.
– A teraz, panie i panowie – zawołała – wystąpi przed państwem słynny śpiewak operowy, Piejak Aleksander. – Oklaski! – Maurcy zaczął klaskać.
Piejak potraktował sprawę bardzo poważnie i nieco się stremował. Wziął łyk wody, wypłukał usta, zagulgotał, a następnie wszedł na scenę i stanął w świetle lampy. Maurycy przygotował stoper w swoim zegarku.
Zapadła cisza. Aleksander odchrząknął, nabrał powoli powietrza, nadął się, zrobił dwa razy większy niż zazwyczaj i zaśpiewał:
KuKuRyKuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuu
Ciągnął i ciągnął ostatni dźwięk, równiutko, nawet mu oko nie drgnęło. Szyby drżały. Huncwot uciekł. Maurycy mierzył czas. Powietrze powolutku schodziło z Piejaka. Robił się coraz mniejszy i mniejszy, ale cały czas śpiewał. W końcu przerwał. Maurycy zatrzymał stoper.
Piejak spojrzał na niego. – I jak tym razem? – zapytał.
– Trzydzieści jeden sekund! – zawołał Maurycy.
– Niemożliwe! – odpowiedział Piejak.
– Naprawdę! – Maurycy pokazał mu szybko zegarek. Bez wątpienia wyświetlało się trzydzieści jeden sekund. Wszyscy zaczęli klaskać, Piejak uśmiechał się i kłaniał.
– Już myślałem, że to się nigdy nie uda. Mogę wreszcie przejść do następnego rozdziału! Nie wierzę! – bardzo się ucieszył.



Almanach



– Ciekawe, ile jest słów w tej książce. – zastanawiał się Maurycy, przeglądając kolejne strony.
– Może policzymy? – zaproponowała Zosia.
– Nie no, co ty. To zajmie strasznie dużo czasu.
– Zapytajcie Almanacha, on powinien wiedzieć. – wtrącił Absztyfikant, który siedział obok i spoglądał zamyślony przez okno. – Almanach notuje bardzo dużo rzeczy. – mówił. – Zapisuje między innymi dni urodzin i imienin wszystkich, którzy są w *Wokabularzu*. Poza tym kolekcjonuje inne ciekawostki. Umie też trochę przepowiadać przyszłość.
– Almanach. – szukali – Jest. AL-MA-NACH – przeczytał wyraźnie Maurycy.
W pokoju stanęło drewniane biurko z szufladami. Wyglądało na bardzo stare. Zdawało się też, że jeszcze przed chwilą ktoś przy nim pracował. Na wierzchu leżało mnóstwo najróżniejszych kartek i karteczek z notatkami. Część była uporządkowana i ułożona na równych stosikach, część zupełnie pomieszana. Pośród kartek stały dwa kałamarze. W jednym był czarny, w drugim czerwony atrament. Zosia i Maurycy znaleźli też metalowe pudełko, a w nim pióra, ołówki, klej, nożyczki, igły i grube nici w najróżniejszych kolorach.
Nie mogli się powstrzymać, żeby nie pomyszkować wśród skarbów.
– Zobacz, ale ogromy statek! – Maurycy pokazał zdjęcie, które wygrzebał gdzieś spod spodu. Na czarno-białej fotografii był wielki żaglowiec. Miał pięć masztów i przynajmniej czterdzieści żagli. Unosił się na wzburzonej fali.
– A zobacz, co ja mam. – Obrazek, który wyciągnęła Zosia, przedstawiał mnóstwo dziwacznych kapeluszy, czapek i innych ozdobnych nakryć głowy. Był melonik, cylinder, turban,

kapelusz kowbojski i kapelusz słomkowy od słońca, czapeczka z daszkiem, korona z diamentami, wełniana czapa z pomponem, haftowana chusta, kapelusik z woalką i mała mycka. – O, jest nawet indiański pióropusz – pokazała Zosia palcem.

– A zobacz tutaj, to chyba jaja dinozaurów. Ale wielkie! I ten stwór też niezły. – powiedział Maurycy.

Przeglądali z zaciekawieniem kolejne obrazki, które znaleźli w górach papierów. Notatki mniej ich interesowały. W pewnym momencie zdali sobie sprawę, że ktoś stoi obok. To był Almanach. Spoglądał na nich i nic nie mówił. Zrobiło im się głupio, że grzebią w nieswoich rzeczach. Odskoczyli od biurka.

– My tylko tak sobie patrzymy. Niczego nie ruszamy. – powiedział Maurycy trochę niepewnie.

Almanach miał rzadkie siwe włosy i binokle na nosie. Nosił długi cienki płaszcz, pod pachą trzymał gruby zeszyt. Patrzył na dzieci i nie wyglądał na rozzłoszczonego.

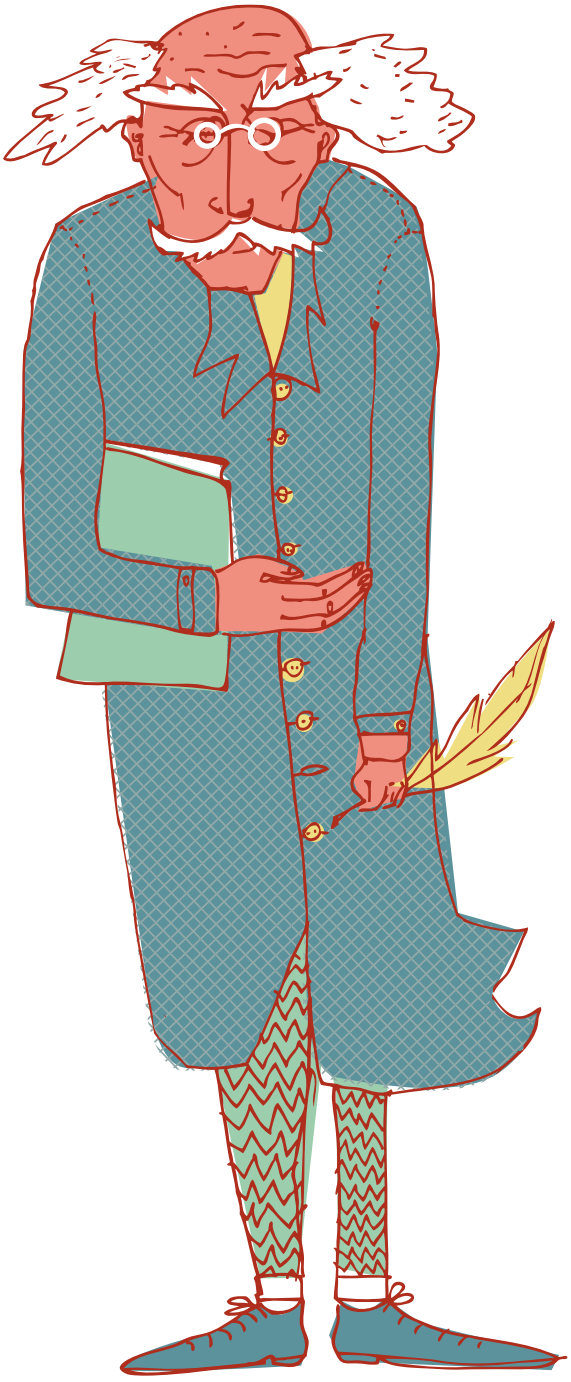
– Sto lat temu to był największy statek na świecie, wiesz? – powiedział spokojnie do Maurycego i wskazał palcem fotografię, którą ten oglądał chwilę wcześniej.

– Płynął dookoła świata, ale któregoś dnia nie pojawił się w porcie. Nie było sztormu ani burzy. Zaginął w tajemniczych okolicznościach. Do dziś nie wiadomo, co się z nim stało.

– Pewnie napadli na niego piraci. – ożywił się Maurycy.

– Możliwe. – uśmiechnął się Almanach.

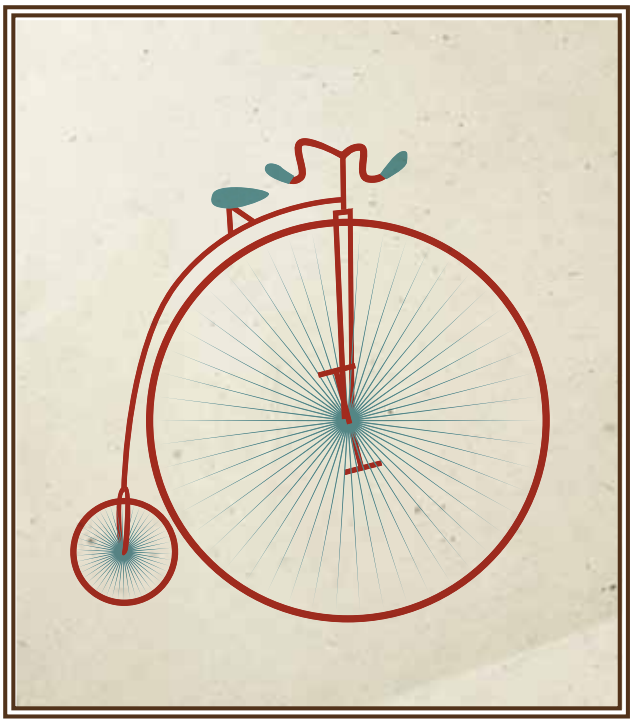
– Nikt go nigdy nie odnalazł. – podszedł powoli do biurka i pochylił się nad notatkami.



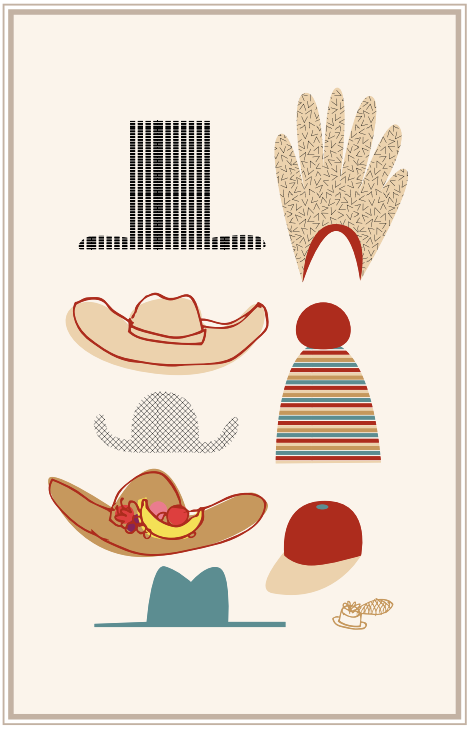
– O, a ciekawe, czy będziecie wiedzieli, co to jest? – pokazał dzieciom zdjęcie z dziwnym jaszczurem.
– To kameleon, taki co zmienia kolory. – zaskoczył Almanacha Maurycy.
– A po co panu te wszystkie karteczki? – zapytała Zosia.
– To są materiały do kalendarza, który właśnie szykuję. – odparł łagodnie Almanach. – Muszę się pospieszyć, bo już zaraz zima, a potem nowy rok i kalendarz lada moment powinien być gotowy.

17

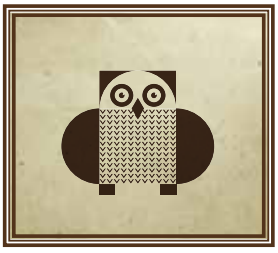
Przesunął na środek biurka dużą stertę białych kart i zaczął pokazywać dzieciom. Na każdej kartce był jeden duży numer: 1, 17, 23, 29... Pięknie wykaligrafowane cyfry były czarne albo czerwone.
– To są strony kalendarza. – powiedział Almanach – Mają już numery dni i nazwy miesięcy. Muszę je teraz ułożyć w dobrej kolejności. Jak uporządkuję wszystkie, będę na każdej naklejał te różne karteczki, które tutaj leżą. Ciekawostki przyrodnicze, przepisy kulinarne, różne interesujące zdjęcia, obrazki i przepowiednie. Na sam koniec zszyję wszystko razem i powstanie gruba księga do czytania przez cały rok. Coś mniej więcej takiego. – pokazał Zosi i Maurycemu kalendarz, który trzymał pod pachą.
Zosia przeglądała go z zaciekawieniem.
– A czy pan wie, ile jest słów w *Wokabularzu*? – zapytał w tym czasie Maurycy.
– Hm, trudne pytanie. – odparł Almanach i podrapał się po głowie. – Ale zaraz. Niech pomyślę. Powinno się udać policzyć.
– Zajrzał do swoich notatek, zapisał coś na karteczce, zmrużył oczy. – 7465. – odpowiedział w końcu.– Mogłem się ciut pomylić, bo liczyłem szybko, ale mniej więcej tyle.
W tym momencie do pokoju wpadli niespodziewanie Huncwot z Hultajem. Pędzili na bicyklu, który najprawdopodobniej wyciągnęli z garażu dziadka. Huncwot siedział na górze, na wielkim kole, Hultaj pilnował, żeby się nie przewrócił.
– Wy też tutaj? – zapytał Almanach. – Powinniście siedzieć w *Wokabularzu* i za karę nigdzie nie wychodzić, a nie tutaj śmigać, łapserdaki. Dobrze wiem, że to wy ostatnio poprzestawialiście kartki w moim kalendarzu. – mówił do chłopaków nieco podniesionym tonem. – Już! Zmykajcie stąd z tym rowerem!









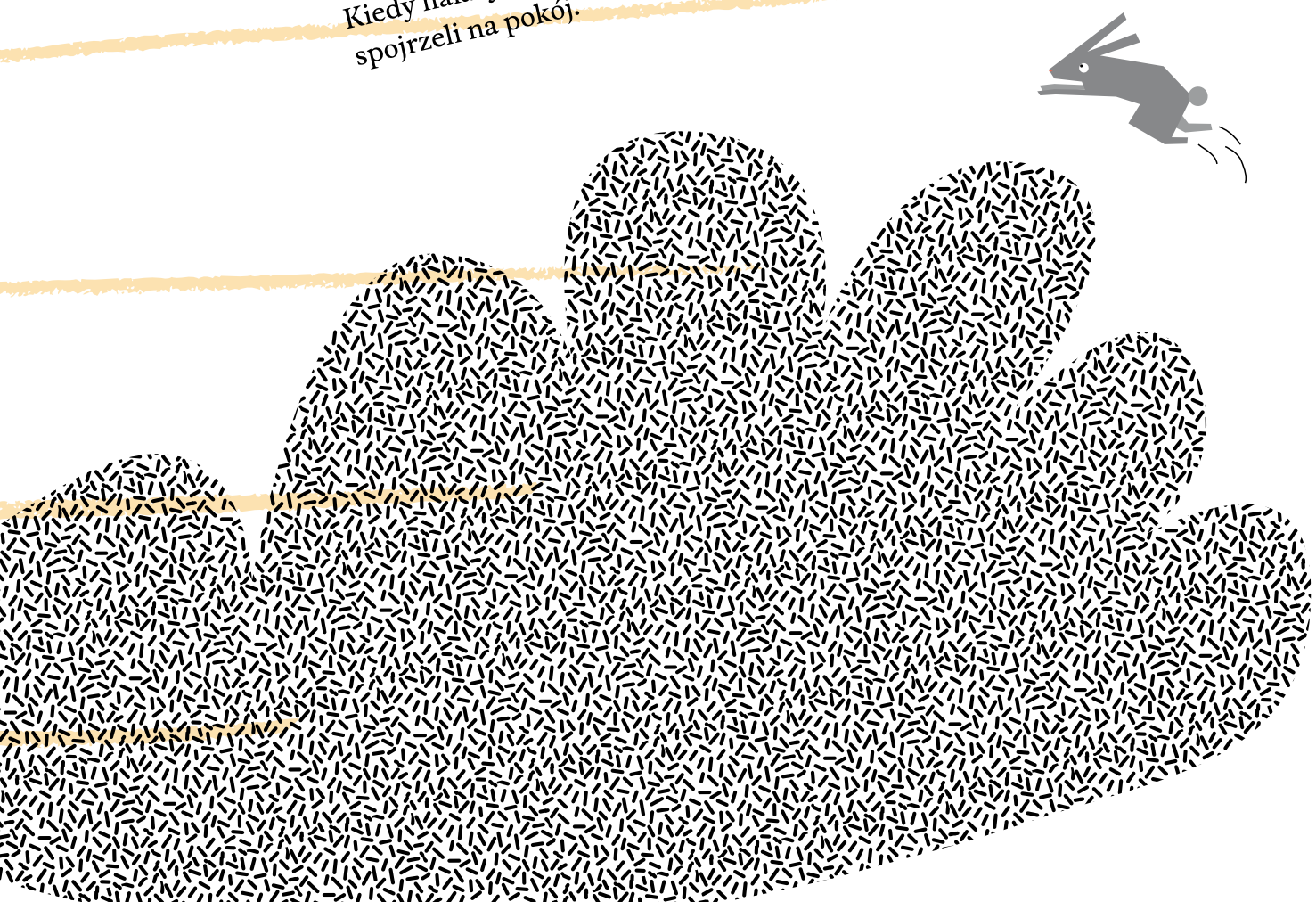


Hultaj i Huncwot pędzili przez środek pokoju. Przejechali blisko Almanacha i trącili biurko. Wieża z białych kartek się rozsypała. Mnóstwo stron pofrunęło na podłogę.
Chłopaki zniknęli w kuchni.
– Niech was dunder świśnie! – zawołał za nimi Almanach.
– Kiedy oni zaczną się w końcu porządnie zachowywać? – dodał.
Zosia i Maurycy pomogli pozbierać porozrzucane kartki. Almanach usiadł na krześle przy biurku. – Wybaczcie, ale muszę jednak nieco popracować. – powiedział do Zosi i Maurycego. – Nowy rok naprawdę blisko, a ja dawno nic nie zrobiłem. Podgonię i jeszcze porozmawiamy.
Zosia i Maurycy trochę rozczarowani wrócili do *Wokabularza*.



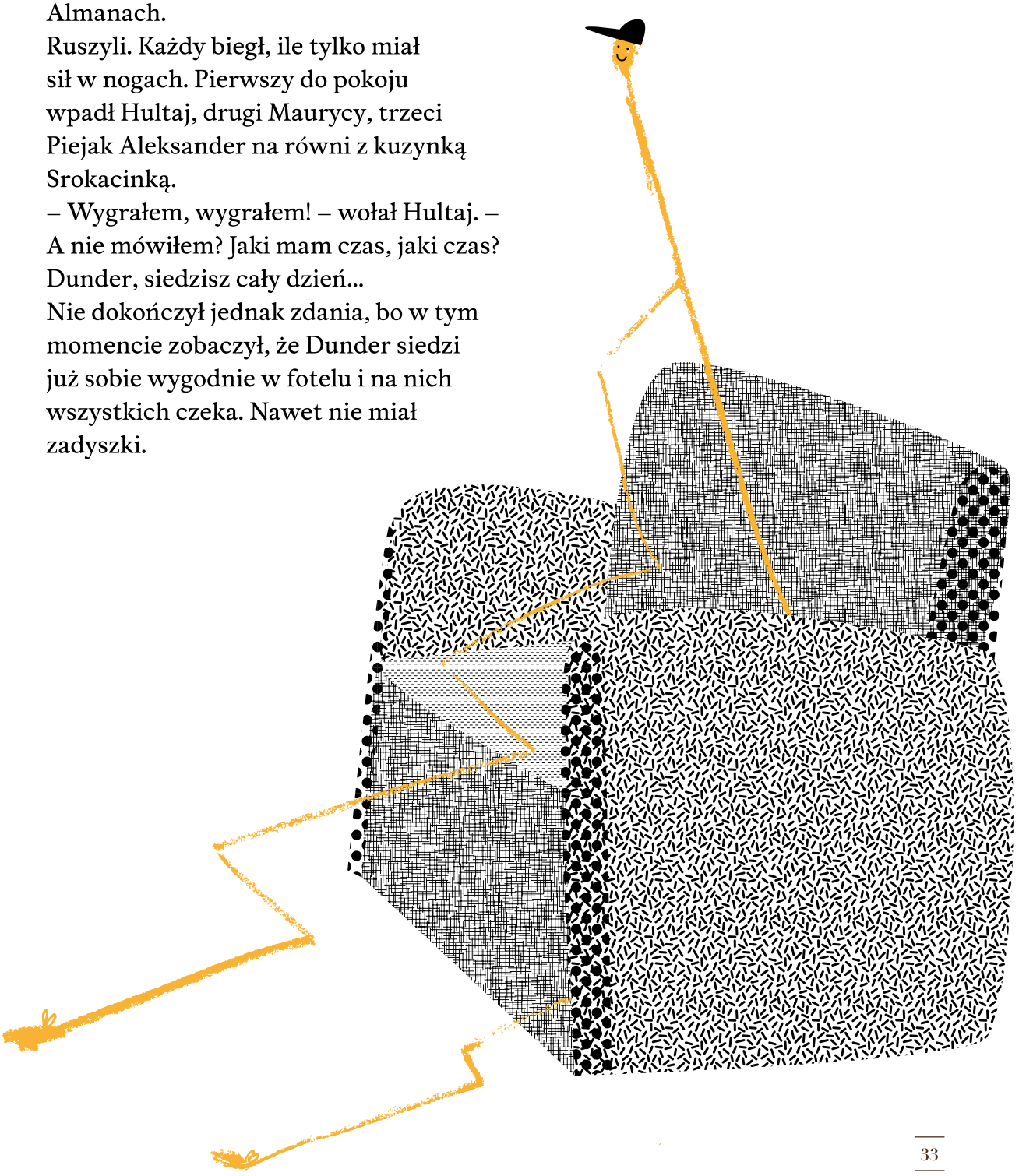
Dunder Błyskawica

– Dunder świśnie? – zastanawiał się Maurycy. – Co to może znaczyć?
– Dunder, dunder... – mówiła Zosia pod nosem. Przekręcali wspólnie kolejne kartki.
Już prawie doszli do słów na literę D, kiedy nagle... jak coś nie wystrzeli! Wyskoczyło z książki z trzaskiem, jak ognista strzała, odbiło się od sufitu, potem od jednej i od drugiej ściany, oślepiając przy tym tak jasnym światłem, że Maurycy i Zosia w końcu zasłonili oczy. Przestraszyli się i kucnęli pod ścianą. Kiedy hałasy ucichły, spojrzeli na pokój.



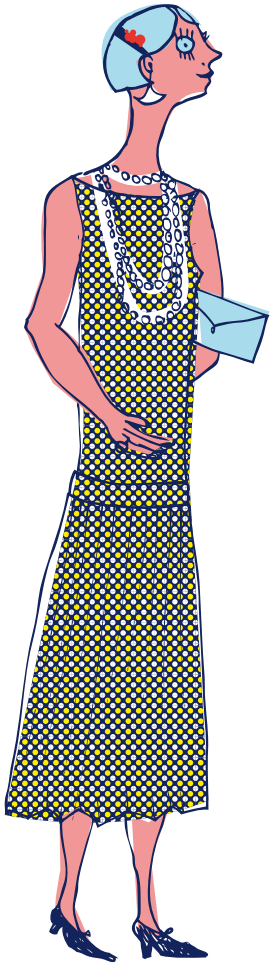
Wszędzie były kłęby dymu.
– O rany, co to było? – zapytał kaszląc Maurycy.
– Coraz lepiej. – powiedziała Zosia. – Może meteoryt?
– O, cześć Dunder! – zawołał Piejak zza pleców dzieci, jak gdyby nigdy nic. Zdaje się, że błyski i dym w pokoju nie zrobiły na nim szczególnego wrażenia. – Tylko uważaj tutaj z tymi swoimi iskrami. Podłoga jest drewniana, łatwo ją zapalić. – Wziął od Absztyfikanta kubeczek z wodą i wylał kilka kropel na podłogę, tam gdzie padły iskry.
Dym powoli opadał. Zosia i Maurycy dopiero wtedy zobaczyli, do kogo mówił Piejak. Dunder stał spokojnie. Wyglądał sympatycznie. Był chudziutki, chudziutki jak kij od szczotki. Nigdy nie widzieli, żeby ktoś był taki chudy i do tego taki wysoki. Głową sięgał prawie do sufitu. Jakby tego było mało, był cały pokręcony. To nie mógł być meteoryt.
– Dunder Błyskawica, do usług. – powiedział wesołym głosem i się ukłonił. – Moja specjalność to szybkie akcje, reakcje, wyścigi między frontami, bicie rekordów prędkości, rozsądzanie sporów i błyskanie światłem najjaśniejszym. – Świst, świst, świst! Wykonał popisową rundę bardzo szybkich skoków po całym pokoju i wrócił na miejsce. Znów się nieco zadymiło.
Zosia i Maurycy pomyśleli, że lepiej było, kiedy się nie ruszał. Wystarczył jeden krok i znów tak świecił, że nie można było patrzeć.
– Rekordy prędkości? – zapytał Maurycy.
– Tak. Mój ostatni to tysiąc milionów kilometrów na godzinę. Nikt mnie jeszcze nie pokonał. Jestem najszybszy na świecie. – odparł z dumą.
– Tysiąc milionów?
– Zmyślasz, to nie jest możliwe. – wtrącił ktoś z pokoju.
– Nie jest możliwe? To robimy zawody i wam udowodnię. Mierzymy czas. Jeśli wygra ktoś inny, obiecuję, że przez cały dzień będę siedział bez ruchu. Co wy na to?
Pomysł wyścigów wszystkim się spodobał.
– Tym razem ja będę mierzyć czas. – zawołała Zosia.
Maurycy pożyczył jej swój zegarek. Też chciał wziąć udział w wyścigu. Start był w kuchni. Ustawili się Hultaj z Huncwotem, Piejak Aleksander, Maurycy, dwie najmłodsze kuzynki Srokacinki i oczywiście Dunder. Almanach miał dawać znak do startu.

– Uwaga. Do biegu, gotowi... – mówił.
– Ej, Huncwot, oszukujesz! Nogę trzeba mieć przed progiem. – powiedział Maurycy. Huncwot trochę się wycofał, bo rzeczywiście trzymał stopę już za drzwiami.
– Do biegu, gotowi, start! – krzyknął Almanach.
Ruszyli. Każdy biegł, ile tylko miał sił w nogach. Pierwszy do pokoju wpadł Hultaj, drugi Maurycy, trzeci Piejak Aleksander na równi z kuzynką Srokacinką.
– Wygrałem, wygrałem! – wołał Hultaj. – A nie mówiłem? Jaki mam czas, jaki czas? Dunder, siedzisz cały dzień...
Nie dokończył jednak zdania, bo w tym momencie zobaczył, że Dunder siedzi już sobie wygodnie w fotelu i na nich wszystkich czeka. Nawet nie miał zadyszki.



Siostry Hulanki





– Muzyka. Słyszysz? Chyba coś gra. – powiedział Maurycy.
Wesołe dźwięki słychać było coraz wyraźniej.
– Co to? – zapytała Zosia, kiedy zobaczyła wielką złotą trąbę.
– O rety, to chyba gramofon. Widziałem kiedyś taki na filmie. Potrzebne są duże czarne płyty. Kręcą się w kółko, tam jest taka szpilka i z tej trąby leci muzyka.
Gramofon przesuwał się powoli razem ze stoliczkiem na kółkach, na którym był ustawiony. Jak się za chwilę okazało, pchała go przed sobą wesoła dziewczyna w sukience z cekinów i z błyszczącą spinką we włosach. Przejechała przez cały pokój, kiwając się w rytm muzyki. Zatrzymała się dopiero pod ścianą. Zaraz za nią podążała duża szafa z lustrami. Też była na kółkach. Potrzeba było sporo miejsca, żeby ją ustawić. Zza szafy wyskoczyła druga dziewczyna. Miała rude kręcone włosy i długie boa z piór.
– Uwaga, uwaga! Panie i panowie, przybywają Siostry Hulanki, potomkinie swawolnych Lusztyków. Koniec ze smutkami, drzemaniem i bezruchem. Pora na rozrywkę, śmiechy, żarty i odrobinę wygłupów! – zawołały. W pokoju rozbrzmiała porywająca piosenka.
Wszyscy zrobili się weselsi. Tylko Godzinnik niewzruszony spał wciąż w Alkowie.
– A co jest w tej szafie? – zapytał zaciekawiony Maurycy.
– Ha! Wszystko, co się przydaje szalonym Hulankom do dobrej zabawy. – uśmiechnęła się zagadkowo jedna z sióstr, zrobiła żwawy obrót, złapała uchwyty od drzwiczek i zgrabnym ruchem otworzyła oba skrzydła na oścież.
– O łał... – zaniemówiła Zosia, kiedy zobaczyła, co jest w środku.



Patrzyła jak zaczarowana. W szafie wisiały różne stroje i kreacje. Sukienki, peleryny, przebrania piratów, rycerzy, kostiumy zwierząt, maski, czapki, kapelusze, kolorowe peruki, okulary, świecące włosy, szale z piór. Były instrumenty muzyczne, bębny, trąbki, grzechotki, metalowe talerze. W szufladzie na dole leżały balony, konfetti w słoiczkach, serpentyny, tasiemki, krepina i błyszczące brokaty. Maurycy znalazł też kolorowe żarówki, karty do gry i zimne ognie.

– Robimy przyjęcie, huczną zabawę, to już postanowione! Będziemy tańczyć, wariować, pić lemoniadę i objadać się smakołykami! – wołała dziewczyna w cekinowej sukience i zaczęła wyciągać z szafy kolorowe stroje.

– Nadmuchamy balony, upieczemy pyszne ciasta, założymy maski i inne przebrania. Takie spotkanie po latach trzeba odpowiednio uczcić! – zawołała druga.

– Tylko my nie umiemy upiec ciasta. – zmartwił się Maurycy.

– No to trzeba zawołać Makutrę, chyba że jest już tutaj z wami. – poradziła jedna z Hulanek.

– Makutra? – Zosia spojrzała badawczo na Maurycego. – Nie, Makutry jeszcze nie znaleźliśmy.

– To koniecznie. Może się zgodzi przygotować tort. Taki jej najlepszy, piętrowy, jaki zrobiła kiedyś z okazji urodzin przyjaciela Pischingera.

– Oj, to był tort z prawdziwego zdarzenia. – odezwał się Piejak. – Nawet w marzeniach bym go sobie nie wymyślił. Z mięciutkich biszkoptów, z pysznym kremem budyniowym z wanilią i z malinami na wierzchu. Och, jakie to było smaczne. Zosia uwielbiała maliny. I budyń też. Tak samo Maurycy. Nie zastanawiali się długo.















Makutra Gliniana i Pischinger

Maa... Makutra – gliniana... – przeczytali tylko początek dalszego opisu, bo Makutra już się pojawiła.
– Och kochani, cóż za spotkanie, jak dobrze was tu widzieć! – uśmiechnięta od razu zaczęła się ściskać ze wszystkimi. Ucałowała Alkowę i Absztyfikanta. – Almanachu, jak twoje zapiski? A twoje próby głosu, Piejaku? – pytała.
– To jest Zosia, a to Maurycy. – przedstawił dzieci Dunder. – Oni wyciągnęli nas z *Wokabularza*.
– Bardzo wam dziękuję.
Makutra była niewysoka, dosyć tęga i bardzo pogodna. Pod pachą trzymała ciężką glinianą misę, z którą nigdy się nie rozstawała. Nic tak nie poprawia nastroju, jak wspólne gotowanie i jedzenie dobrych rzeczy, zwłaszcza w miłym towarzystwie – powtarzała często. Była największą specjalistką od ucierania kremu, maku oraz mas czekoladowych. Uwielbiała eksperymentować w kuchni. Mieszała w swojej misie najrozmaitsze składniki. Testowała nowe przepisy przy każdej nadarzającej się okazji. Wszyscy uważali, że przyrządza najwspanialsze desery na świecie.
– Mamy takie pytanie... – zaczął Maurycy trochę nieśmiało – Robimy dziś przyjęcie, huczną zabawę z okazji spotkania...
– Przyjęcie? O, cudownie! – Makutra zareagowała z ogromnym entuzjazmem. – Trzeba zatem koniecznie przygotować coś pysznego. – powiedziała od razu.
– Właśnie chcieliśmy cię zapytać, czy byś się zgodziła zrobić tort.

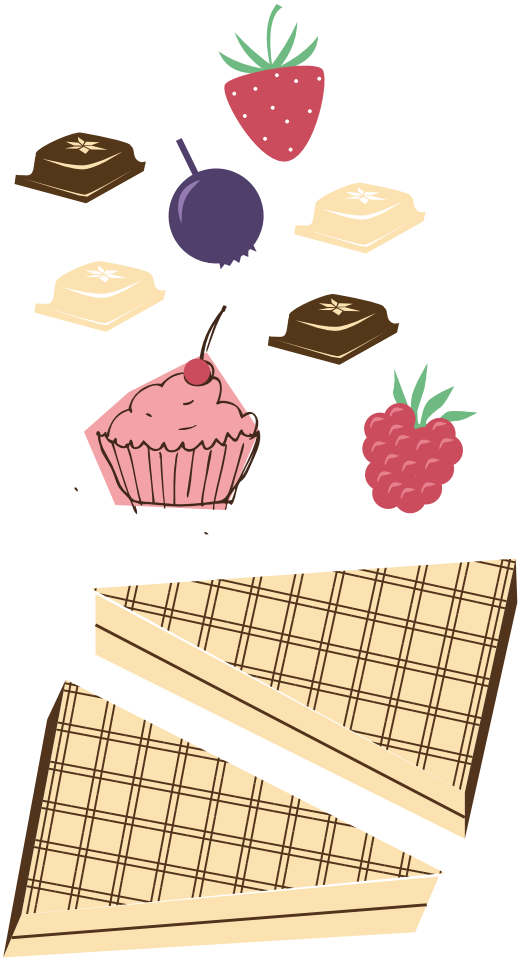
– Taki z malinami i budyniem – dodała Zosia.
– Oczywiście, że bym się zgodziła. Nie ma o czym mówić. W taki dzień, jak dziś, tort po prostu musi być. Powiedzcie tylko, gdzie jest kuchnia, i zabieram się do pracy.
Zosia i Maurycy ucieszeni ruszyli w stronę kuchni. Makutra podążyła dziarsko za nimi. Pomyśleli, że babcia nie byłaby zadowolona z całej tej historii. Wyganiała każdego, kto tylko krzątał się po jej królestwie.
– Skończymy zanim wróci. – uspokoiła Maurycego Zosia.
– Czy mamy wszystko, czego nam potrzeba, popatrzmy. – rozpoczęła przygotowania Makutra.
Wyliczała potrzebne składniki, a Zosia i Maurycy szukali ich w szafkach i w lodówce. Każdą rzecz, którą znaleźli, ustawiali na stole.
– Mleko, mąka, budyń, jajka. Są. Cukier, masło. Mamy. Łyżeczkę wanilii zabrałam ze sobą, co oznacza, że na krem budyniowy i ciasto biszkoptowe mamy wszystko. Teraz ciasteczka. Kakao, rodzynki, płatki owsiane, foremki do wykrawania kształtów i wałek. Są. Galaretka, truskawki. Są. Śmietana. O, nie ma. Brakuje nam zatem śmietany i świeżych malin do tortu. – podsumowała.

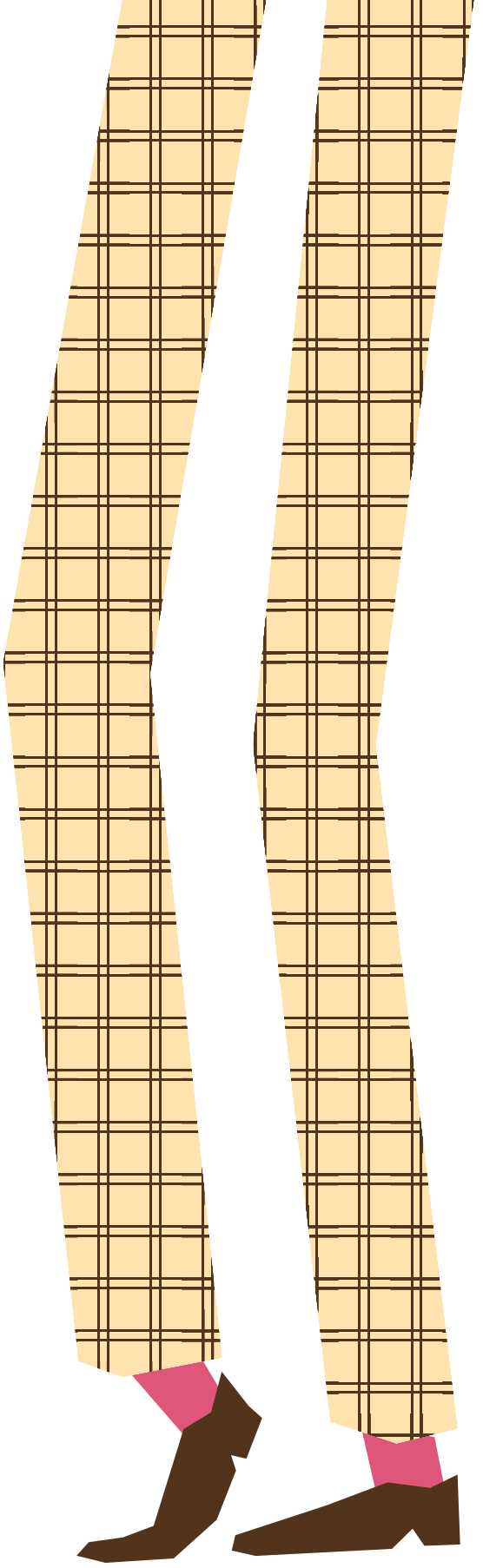






– To ja może polecę do sklepu! – zawołał Dunder, który przyglądał się przygotowaniom. – Dwie sekundy i wrócę z zakupami.
Zrobił, jak powiedział, i już za chwilę pojawił się z kubeczkiem śmietany i koszykiem pełnym malin.
– Doskonale. Mamy zatem wszystko. To teraz uciekajcie.
– Ach, nie. Mam jeszcze jedną małą prośbę. – dodała, kiedy dzieci wychodziły już z kuchni. – Zawołalibyście Pischingera? To mój serdeczny przyjaciel. Byłoby miło, gdyby też był tutaj z nami.
Zosia i Maurycy od razu pobiegli do *Wokabularza*.
– Pischinger, Pischinger – szukali.
– Jest.
Pischinger był szczupłym, wysokim jegomościem, wyprostowanym jak struna i nieco bladym. Nosił marynarkę i spodnie w kremowo-brązową krateczkę. Pachniał czekoladą.
– Wygląda trochę jak wafelek z nadzieniem kakaowym. – powiedział Maurycy.
– Hihi! – zaśmiała się cichutko Zosia i zakryła usta ręką. – Zapytamy go?
– A jak się obrazi? – odpowiedział Maurycy.
– Dzień dobry. Ja jestem Zosia, a to jest Maurycy. Poznaliśmy niedawno Makutrę. Prosiła nas, żebyśmy pana zawołali.



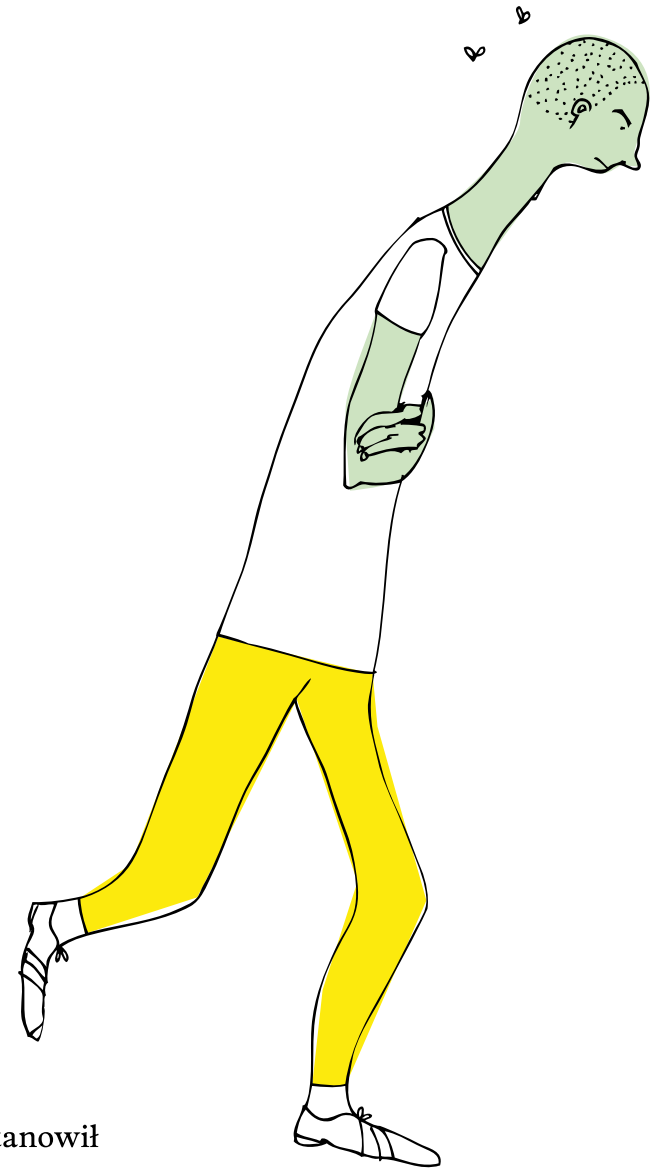


– Dzień dobry. – przywitał się Pischinger.
– Niech zgadnę, Makutra pewnie już uciera jakieś kremy albo inne słodkie masy?
– Robi tort z malinami na przyjęcie. – odpowiedział Maurycy. – Taki piętrowy.
– No tak, piętrowy to jej najlepszy. To ja pójdę i pomogę. Dziękuję, że mnie zawołaliście – powiedział i udał się do kuchni.
Zosia i Maurycy zostali przy *Wokabularzu.*
– To co, jeszcze ktoś? Ostatni raz? – zapytał Maurycy.

Fasoł Draka

– Faaaaassooolaaa.... Fasola? Nie. Zaraz. Jeszcze raz. – powiedział cichutko Maurycy. – Fasooooł. Fasoł – draka... – przeczytał dokładnie.
– Ja wolę z jagodami! – krzyknął Fasoł, od razu niezadowolony.
– Maliny są niedobre, popsują cały tort. – Chłopak był chudziutki, miał bardzo krótkie włosy i długą szyję.
– Oj, Fasole, to może zrobimy pół tortu z malinami, a pół z jagodami, jeśli ci maliny nie smakują? – zaproponowała Makutra.
– Nie, nie zgadzam się! – szedł w zaparte. – Uważam, że tort powinien być tylko z jagodami i koniec kropka. Maliny są głupie i niesmaczne. I to beznadziejny pomysł, żeby je kłaść na torcie. – zaczynał mówić coraz głośniej i był coraz bardziej poddenerwowany.
– Oj Fasole, czy ty zawsze musisz znaleźć powód do kłótni? – zapytała Makutra.
– Oczywiście. – odrzekł Fasoł Draka, pierwszy raz się nie sprzeczając.
Wszyscy dobrze wiedzieli, że kłótnie to jego specjalność. Przyzwyczaić się do tego nie było łatwo. Żyć z nim w zgodzie, mimo szczerych chęci, naprawdę się nie dało. Zawsze chciał inaczej, nigdy nie ustąpił, a denerwował się tak prędko, że sprzeczka z nim była zupełnie oczywista.
Wszyscy chcą do kina, on chce do teatru. Idą do teatru, on już zmienia zdanie i teraz chce do kina. I jeszcze ma pretensje, że się wszyscy dziwią takim szybkim zmianom. Ktoś chce włączyć radio, jemu już przeszkadza i krzyczy wniebogłosy, że za głośno i muzyka nie ta. Złości się i piekli przez cały czas właściwie. Nikt chyba nie pamiętał, żeby kiedykolwiek spokojnie dyskutował.





– Kto to widział robić tort z malinami! – postanowił wrócić do tematu.
– Fasoł! Ej! Chodź pojeździć z nami na bicyklu. – zawołali Hultaj z Huncwotem.
Chłopaki znowu pędzili jak szaleni po całym pokoju. Powiedzmy sobie otwarcie, wcale nie mieli ochoty dzielić się pojazdem, ale akurat bardzo lubili maliny. Zdecydowanie bardziej niż jagody, i nie chcieli, żeby przez Fasoła tort był z jagodami.
Nietrudno się domyślić, że chłopcy w mig się pokłócili.
Fasoł chciał być pierwszy, Hultaj się nie zgadzał. Fasoł cały w nerwach już chciał bić Hultaja. Huncwot rozdrażniony też zaciskał pięści. Jeszcze krótka chwila i wybuchłaby naprawdę wielka draka. Dopiero Dunder Błyskawica opanował sytuację. Śmignął raz i drugi, rozstawił chłopaków po kątach i na chwilę zapanowała cisza.
Tort z malinami uratowany!



Frejlina

Zegarek Maurycego wydał z siebie cichutkie pipi pipi. Alarm przypominał, że zaraz będzie czwarta. Godzinnik drzemał w Alkowie. Maurycy stanął na środku pokoju, wyciągnął dzwoneczek, wyprostował plecy, wstrzymał oddech i zadzwonił cztery razy, dokładnie tak, jak obiecał. Dzyń dzyń dzyń dzyń.
W pokoju i w kuchni panowało zamieszanie. Przygotowania do przyjęcia trwały. Pischinger pomagał Makutrze. Gotowe dania przekładał na talerze lub do salaterek i ustawiał na stole. Kuzynki Srokacinki malowały balony w plamkowe wzory. Piejak dmuchał je i zawiązywał nitką, Dunder wieszał pod sufitem. Hultaj z Huncwotem najmniej pomagali. Coś kombinowali w kącie. Namawiali się po cichu, tak żeby nikt nie słyszał. W pewnej chwili jeden z balonów strzelił z wielkim hukiem, a chłopcy uciekli w pośpiechu do kuchni.
– A wy znowu swoje! – Almanach od razu wiedział, że to ich sprawka. – Zaraz wam zabierzemy tę procę! Daję słowo!
Godzinnik się obudził.
Siostry Hulanki rozstawiały talerzyki, kubeczki, widelczyki. Podśpiewywały przy tym wesoło i wykonywały różne figury taneczne.
Wszyscy się śmiali, rozmawiali, byli podekscytowani. Tylko Absztyfikant siedział z boku zamyślony.
Zosia i Maurycy postanowili coś z tym zrobić. Podejrzewali, w czym rzecz. Podeszli do Almanacha i zapytali po cichu:
– Pamiętasz może, jak się nazywała ta dziewczyna, o której Absztyfikant Zalotnik tyle opowiadał? On jest taki smutny. Nawet przyjęcie go nie cieszy. Chyba za nią tęskni. Może byłby weselszy, gdyby była tutaj z nami. Poszukamy jej w *Wokabularzu*, tylko imienia nie możemy sobie przypomnieć.
Almanach łagodnie się uśmiechnął.



– Zaraz, zaraz, na pewno mam gdzieś tutaj zapisane. Chwileczkę. – Przeglądał swoje notatki.
– Alkowa, nie. – mruczał pod nosem – Makutra, urodziny we wtorek, w lutym. To też nie ona. Hulanki, lat dwadzieścia siedem, też nie. Frejlina, o! Frejlina, dama dworu cara rosyjskiego, urodziny w sobotę, 15 grudnia. Frejlina, to ona.
– Tak, Frejlina! – Zosia z Maurycym pobiegli ucieszeni.
– Ffffrejlina – powiedzieli do otwartej książki.
– Tylko bez psa! – krzyknął szybko Maurycy. Zosia spojrzała na niego zadziwiona, ale nie zdążyła o nic zapytać. Dostojna dama już stanęła obok książki. Nie odezwała się nawet słowem. Zrobiła tylko kilka kroków i zaczęła się rozglądać po pokoju.
– Frejlina. – powtórzyła Zosia. Elegancka długa suknia i naszyjnik z pereł nabrały kolorów. Absztyfikant Zalotnik od razu się rozbudził. Wyprostował. Włosy poprawił. Trochę nawet zarumienił. Spojrzał na Maurycego. Ten mrugnął do niego i pokazał, że mocno trzyma kciuki.





Przyjęcie



Siostry Hulanki doradzały przy kreacjach. Zosia wybrała sukienkę w groszki. Do niej czarne koraliki i opaskę z piórkami. Była zachwycona. Maurycy długo nie mógł się zdecydować. Podobały mu się kolorowe peruki i przebrania kowbojów. Stroje piratów też.

– Jestem Kapitan Srebrny Włos! – zawołał w końcu zmienionym głosem i wyskoczył zza lustra. Miał zasłonięte jedno oko, długi czerwony płaszcz i piracki kapelusz. Spod niego wystawały długie srebrne włosy. – I mam piracki skarb! – Pokazał Zosi przypięty do pasa woreczek ze złotymi monetami.

– A ja mam prawdziwą diamentową bransoletkę. – pochwaliła się Zosia wyciągając rękę.

– Kochani, chciałbym wznieść toast za nasze dzisiejsze spotkanie oraz za podróże, które nas czekają. – zaczął uroczyście Almanach.

W pokoju zapadła cisza. Pischinger wziął ze stołu srebrną tacę ze szklaneczkami. Rozlał do nich lemoniadę. Przeszedł po pokoju i poczęstował każdego.



– Chciałbym bardzo podziękować Zosi i Maurycemu. – mówił dalej Almanach. – To dzięki nim jesteśmy tutaj wszyscy razem. Dzięki nim ożyły nasze imiona i mogliśmy wyjść z *Wokabularza*.

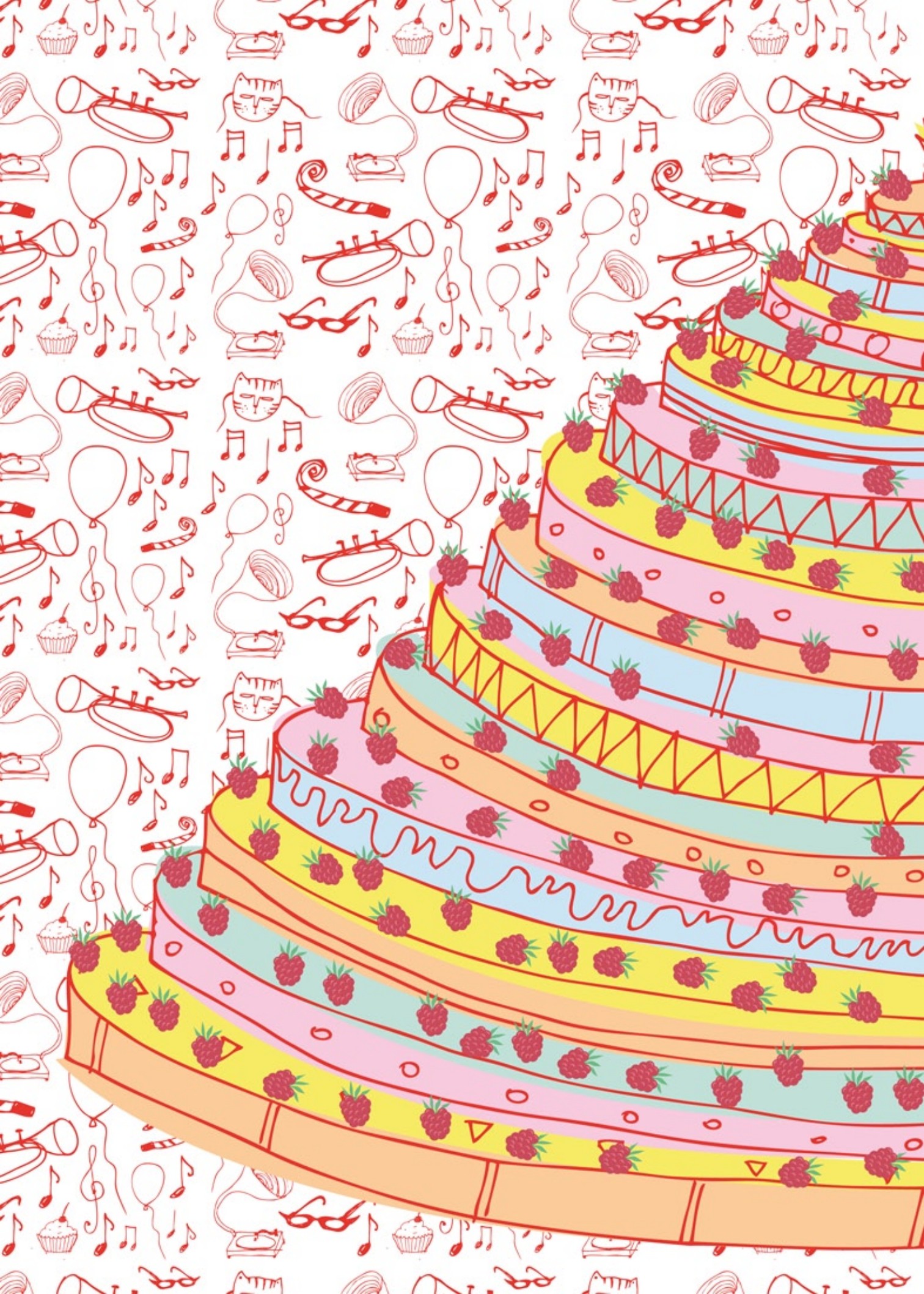
Zosia i Maurycy trochę onieśmieleni uśmiechnęli się do siebie.

– Mam nadzieję, że to nie jest nasze ostatnie spotkanie i że będziemy widywali się częściej.

Skończył, a wtedy wszyscy zaczęli stukać się szklaneczkami i popijać cytrynowy napój.



– Już mogę? – dobiegło pytanie z kuchni.
–Tak – odpowiedział Pischinger. – Uwaga, uwaga, czas na tort! – zapowiedział głośno.
W drzwiach do pokoju stanęła Makutra. A właściwie to nie do końca tak było, bo Makutry nie było widać. Pojawił się tort, wielki tort, jakiego Zosia i Maurycy nigdy wcześniej nie widzieli. Miał piętnaście okrągłych pięter i był calutki udekorowany owocami. Z jednej strony malinami, z drugiej jagodami.
Kiedy Makutra postawiła tort na stole, okazało się, że są na nim wypisane imiona wszystkich gości. Hultaj Łobuz, Huncwot Rozrabiaka, Alkowa Senna, Absztyfikant Zalotnik, Fasoł Draka, Godzinnik, Dunder Błyskawica...
– My też jesteśmy, zobacz! – zawołała Zosia i pokazała Maurycemu czekoladowy napis na trzecim piętrze.
– Kochani, czas na tańce! – zawołały siostry Hulanki.
Dziewczyna w srebrnej sukience nastawiła płytę, zakręciła korbą od gramofonu i się zaczęło.
Kuzynki Srokacinki szalały na parkiecie jak zwariowane w swoich kolorowych strojach. Porwały do tańca Godzinnika i Fasoła. Frejlina już nie była obrażona. Uśmiechnięta bawiła się z Absztyfikantem. Ten się wygłupiał, zachwycony. Hultaj z Huncwotem długo trzymali się z boku, ale w końcu też ruszyli. Wywijali piruety, jakich nikt się nie spodziewał. Almanach z Alkową jedli tort przy stole. Kiwali głowami, bardzo im smakował. Zabawa była świetna.





Nagle zza drzwi dobiegły głosy.
– A gdzie Zosia i Maurycy? Przecież to już prawie siedemnasta. Cały czas spałeś? No, naprawdę! Byś tak spał i spał, gdybym nie wróciła wcześniej.
W pokoju zrobiło się cicho.
– To babcia. – wyszeptała Zosia. – I co teraz?
Maurycy nie zdążył odpowiedzieć, bo dziadek, całkiem zaspany, wszedł już do pokoju.
– Tu jesteście. Bardzo was przepraszam, przysnąłem na dłuższą chwilę. Ale widzę, że świetnie sobie radzicie. Czyżby mnie ominęło jakieś przyjęcie? – spojrzał na stół z filiżankami i talerzykami. Zobaczył też poprzewracane poduszki od foteli i wyciągniętą z kąta lampę. Gości już nie było.
– Sprzątajcie powoli. Niedługo przyjadą rodzice i będzie kolacja. Wybaczcie, że wam nie poczytałem. Nadrobimy następnym razem.
– Nic się nie stało – powiedział Maurycy.
– Dziadku, a możemy pożyczyć jedną książkę? – zapytała Zosia.
Maurycy podniósł grubą księgą z podłogi.
– *Wokabularz*? – dziadek zerknął zadziwiony. – Eeee, poszukam wam może czegoś ciekawszego. Podszedł do regału.
– Ale ona nam się podoba. Możemy?
– Skoro tak... W sumie rzadko do niego zaglądam. Jeśli chcecie, mogę wam go podarować.
– Super!
Maurycy pobiegł do przedpokoju. Wrócił ze swoim małym plecakiem. Razem z Zosią zapakowali książkę, żeby na pewno o niej nie zapomnieć, i zabrali się za małe porządki.

KONIEC



Słowniczek:

absztyfikant – zalotnik, adorator, wielbiciel

alkowa – przestrzeń w sypialni wydzielona na łóżko, rodzaj niszy przylegającej do większego pokoju, zazwyczaj bez okna

almanach – kalendarz zawierający wiadomości i ciekawostki z różnych dziedzin życia, przepisy kulinarne, porady ogrodnicze, drobne utwory literackie, przepowiednie

bicykl – rodzaj dwukołowego roweru, z wielkim kołem z przodu i małym z tyłu

binokle – okulary trzymające się na nosie dzięki specjalnie wygiętej sprężynce

dunder – piorun (niech go dunder świśnie! – niech przepadnie, niech go piorun strzeli)

do diaska! – przekleństwo, łagodniejszy odpowiednik „do diabła”

fasoł – draka, kłótnia, sprzeczka

frejlina – dama dworu na dworze rosyjskiego cara

godzinnik – zegar

hultaj – łobuz, psotnik, nicpoń, huncwot

huncwot – rozrabiaka, gagatek, łapserdak, urwipołeć, hultaj

lusztyk – hulanka, swawola, huczna zabawa

makutra – gliniana misa o szorstkiej powierzchni, używana do ucierania mas tortowych, maku, kremów

melonik – sztywny kapelusz męski o zaokrąglonej główce i wąskim, podgiętym rondzie

piejak – kogut

pischinger (czyt. piszinger) – andrut z masą kakaową

srokacinki – kolorowe, pstre plamki

o wciórności! – przekleństwo, znaczące tyle co „do diabła”, „do licha”, „do diaska”

wokabularz – słownik



opracowanie projektu „Wokabularz – elementarz językowy” i koordynacja: Natalia Jabłońska
koncepcja literacka i tekst: Magdalena Skrzeczkowska
ilustracje, projekt graficzny i skład: Karolina Kotowska
redakcja i korekta: Kaja Kojder-Demska
konsultacja językowa: Karolina Bielenin-Lenczowska, Kaja Kojder-Demska
druk: drukarnia EFEKT

szczególne podziękowania dla:
Tosi Kiliś za narysowanie Godzinnika, zaglądanie przez ramię,
bystre oczko, tysiąc dobrych rad oraz wszystko inne
Kamy Rokickiej za poświęcony czas, uważną lekturę, masę pomocnych uwag i wskazówek

Książka jest dostępna na licencji Creative Commons
Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych 3.0 Polska (CC BY-NC-ND 3.0)
Pewne prawa zastrzeżone na rzecz autorek
i Stowarzyszenia Pracownia Etnograficzna im. Witolda Dynowskiego.
Treść licencji jest dostępna na stronie: www.creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/3.0/pl/

Książka dofinansowana ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach programu „Promocja języka polskiego”, który towarzyszy kampanii społeczno-edukacyjnej „Ojczysty – dodaj do ulubionych”.

wydanie pierwsze, Warszawa 2012

Wydawca:
Stowarzyszenie Pracownia Etnograficzna im. Witolda Dynowskiego
00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24/12
e-mail: pracowniaetnograficzna@gmail.com
www.etnograficzna.pl

ISBN 978-83-936208-0-7

Organizator i wydawca: Stowarzyszenie Pracownia Etnograficzna

Partnerzy: Narodowe Centrum Kultury; Ojczysty – dodaj do ulubionych

Patroni medialni: LYMS; Qlturka.pl dziecko i kultura; radiobajka; portal Wiano.eu; Kultura Ludowa.pl